

1. Preambulum

Aleja Róż i okolice to moje okolice. Miejsce, w którym mieszkam. Miejsce obrosłe dla mnie życiem i znaczeniami. Urodziłem się na Mokotowie, mieszkam przy placu Zbawiciela na ulicy Mokotowskiej, która wzięła nazwę od Mokotowa i chociaż biegnie w Śródmieściu, to łączy je w ten sposób – jedynie przez swą nazwę – z tamtą leżącą na południu, i tam na południowej skarpie Wiślanej biorącą swój początek – dzielnicą miasta. Dokładniej, żeby to opisać: Mokotowska biegnie od Placu Zbawiciela z jednej strony w kierunku Polnej i Pól Mokotowskich rozciągających się już bardziej na zachodzie, czy południowym zachodzie miasta, z drugiej zaś prowadzi na północ, czy północny wschód w kierunku Nowego Świata, dochodząc do Placu Trzech Krzyży, na którym się kończy, czy też zaczyna, zależy jak na to spojrzeć, i w jakim kierunku się nią idzie. Bo Mokotowska – ta moja oś świata i centrum topografii, którą staram się tu niezręcznie opisać, jako punkt wyjściowy dla tych, którzy nie znają bliżej Warszawy, czy też gubią się w niej, jest dziwną, niezwykłą ulicą. Mokotowska – nie, jak na przykład, (żeby już nie powiedzieć przykładnie): Wolska na Woli – znajduje się w Śródmieściu, a nie na Mokotowie.

Niby prowadzi do Pól Mokotowskich i Nowego Świata, ale nigdy do nich nie dochodzi. Zaczyna się poza nimi i kończy przed nimi. Wbrew też logice i ogólnie przyjętemu porządkowi miasta, w którym numery domów rosną od Wisły – tu na Mokotowskiej jest odwrotnie: tam, gdzie jest do niej najbliżej (przy Placu Trzech Krzyży, skąd przecież niedaleko już do Mostu Poniatowskiego) i gdzie powinien być początek, gdzie powinny się zaczynać i być te najniższe, najmniejsze numery, są te większe i wyższe, kończą się. A u drugiego krańca ulicy, położonego znacznie dalej od Wisły, w którego kierunku powinny rosnąć, zwiększać się i kończyć, dopiero się zaczynają, są najniższe, najmniejsze. Być może Mokotowska mówi, że początkiem jest koniec, koniec jest początkiem: *U mojego początku jest mój kres.*

Być może Mokotowska, ta wcale niepewna, jak wiadać, oś świata, raczej rozedrgana, i wrażliwa na każdy nasz obrót jak wskazówka i igła kompasu, przejęła coś z Placu Zbawiciela, od którego wychodzi w obu kierunkach, a o którym Miron Białoszewski w swoich peregrinacjach i wędrówkach warszawskich, gdy go tam rzuciło, napisał: „Plac Zbawiciela jest jak ruletka!”. Poetę zaniósł tam raz przed Wielkanocą chyba, tuż przed Niedzielą Palmową – nie mam teraz jak tego sprawdzić, ale tak zapamiętałem ten jego opis i okrzyk, jaki wydał daleko już po wojnie, w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych – na widok Placu Zbawiciela – barw, kwiatów, toczącego się na nim życia, – kiedy się tam znalazł i opisywał, co można było wtedy tam widzieć, i co on zobaczył (oprócz zwykłych straganów i bab z kwiatami, właśnie te wielkanocne palmy). A więc zarysowując, z grubsza, ten punkt wyjścia, tę topografię mojej ulicy na użytek rozmyślań o miejscu / nie-miejscu – nowych topografiach i nowych

ZBIGNIEW BENEDYKTOWICZ

Aleja Róż i okolice. Warszawskie pasaże

Dla Małgorzaty Baranowskiej

topologiach – i żeby zorientować, zaraz na wstępie, tych mniej znających Warszawę, czy gubiących się w niej, wyjaśniam: z Mokotowskiej niedaleko już do Alei Róż. Wystarczy iść od Placu Zbawiciela w stronę Placu Trzech Krzyży, by zaraz dojść do Koszykowej i skręcając w nią w prawo, a potem za chwilę w lewo, żeby się na niej znaleźć. Aleja Róż biegnie od Koszykowej, prowadzi do Alei Ujazdowskich i do głównego wejścia do Ogrodu Ujazdowskiego.

Mokotowska – Koszykowa – Aleja Róż to trasa mojego dzieciństwa. Droga do Ogrodu Ujazdowskiego. Do widoku jego bramy głównej, w której jeszcze wtedy nie rozsiał się w swym pomnikowym fotelu Paderewski – (tu dygresja: stało się to dopiero za sprawą Jerzego Waldorfa, który także mieszkał w pobliżu tych miejsc, o których mówię – (idąc od Mokotowskiej) – na kolejnej po Alei Róż, odchodzącej od Koszykowej – Alei Przyjaciół. Dziś na rogu tych ulic wisi tablica upamiętniająca tego kustosza pamięci nie tylko warszawskiej – społecznego opiekuna miejscowej nekropolii, naszego warszawskiego *campo santo*: cmentarza na Powązkach, ale i pamięci muzycznej, bo nie tylko Paderewski, ale i willa „Atma” Karola Szymanowskiego w Zakopanem była otoczona jego troską. Pomnik Paderewskiego to nie jedyny przykład wędrującego pomnika w naszym mieście – może uda się do tego motywu „wędrujących pomników” jeszcze powrócić – teraz krótko: odlany tuż przed wybuchem II wojny światowej w Odlewni Metali Półszlachetnych na Powiślu, przy ulicy Solec pomnik stanął po drugiej stronie Wisły w Parku Skaryszewskim, zwanym wtedy Paderewskiego, przygotowany do uroczystości odsłonięcia zaplanowanej na 31 sierpnia 1939. Po kapitulacji Warszawy i wejściu wojsk Hitlera, właściciel odlewni Czesław Chojnowski wykonaną z brązu rzeźbę, żeby nie podzieliła losu innych pomników przeznaczonych przez Niemców na przetopienie, rozmontował, i w kilku częściach zakał na terenie posesji na Solcu, w ogrodzie swojego domu. Po wyzwoleniu Paderewski stanął początkowo przed odlewnią na Solcu, w podwórzu domu nr 87. Potem przetransportowano go do willi Zygmunta Jeznackiego na Mokotowie, a później na Bródno. W 1956 roku władze przejęły pomnik z rąk prywatnych. Umieszczono go naj-

pierw w podziemiach Muzeum Historycznego m.st. Warszawy, a następnie przewieziono do spółdzielni „Brąz Dekoracyjny” przy ulicy Hożej 55 (dawnej odlewni Braci Łopieńskich). W 30. rocznicę śmierci Paderewskiego, w 1971 roku, postanowiono ustawić pomnik w miejscu publicznym. Rzeźba trafiła do Muzeum Narodowego i stanęła tam na dziedzińcu wewnętrznym. W 1978 pomnik Paderewskiego opuścił wreszcie mury muzeum i trafił na ulice stolicy, w bardziej widoczne miejsce – dzięki staraniom Jerzego Waldorffa posąg przeniesiono na ulicę Okólnik, w sąsiedztwo Pałacu Ostrogskich i Akademii Muzycznej. Tam odsłonięto go publicznie po raz pierwszy: 16 listopada 1978 roku. Po kolejnych siedmiu latach zdecydowano się ustawić pomnik w bardziej reprezentacyjnym punkcie miasta. W czerwcu 1985 roku nastąpiło przeniesienie Premiera na główny dziedziniec Parku Ujazdowskiego, przy głównej bramie wejściowej, gdzie stoi do dziś. Mokotowska – Koszykowa – Aleja Róż trasa mojego dzieciństwa wiodąca do Parku Ujazdowskiego, w którym nie było jeszcze Paderewskiego, prowadziła do położonego tam stawu, do którego chodziłem najpierw z matką, (a potem, wiele lat później, już z córkami) oglądać i karmić kaczki. Zanim pojawił się tam pomnik Paderewskiego, jedynymi pomnikami, które stoją tam do dziś, były: znajdujący się niedaleko centralnego klombu, w pobliżu stawu, pomnik-rzeźba śpiącej, przechylonej we śnie nagiej kobiety – „Ewy” – autorstwa Edwarda Wittiga (1911) i stojący u szczytu drugiego obszernego klombu, przy wejściu do parku (wyjściu) od strony ulicy Pięknej – brązowy odlew „Gladiatora”, kopia znanej, stojącej w warszawskiej Galerii „Zachęta” marmurowej rzeźby autorstwa Piusa Welońskiego (1880-82). Za plecami domów ciągnących się przy Alei Róż, ulicy biegnącej pomiędzy Ogrodem Ujazdowskim a Koszykową – wzdłuż tej mojej najwcześniejszej trasy spacerowej prowadzącej do i od Mokotowskiej – znajduje się Dolina Szwajcarska. To drugi znany ogród warszawski w tej okolicy, leżący pomiędzy Aleją Róż i ulicą Chopina z równoległym biegnącym na niej (i do tylnych ścian domów, stojących przy Alei Róż) – małym murkiem zamykającym wąwóz Szwajcarskiej Doliny, wyznaczającym jej granicę od północnej strony. Chopina to kolejna – idąc Alejami Ujazdowskimi od południa – po Koszykowej i Alei Róż ulica (następna jest już tylko Piękna, tak jak i potem kolejna jeszcze: Wilcza), która łączy Aleje Ujazdowskie z Mokotowską. Oto najbliższa mi topografia, miejsce, w którym mieszkam (czworokąt? pięciokąt? sześciokąt? ośmiokąt?) wyznaczony, pocięty, połączony ulicami: Mokotowska – Koszykowa, Aleja Róż – Ujazdowskie – Chopina, (Piękna, Wilcza) – Mokotowska.

To moje miejsce, chociaż płaskie, bo stąd nie widać, że leży na lewobrzeżnej skarpie wiślanej – „Moje wzgórze” – *Mon coteau*, jak nazwała swą posiadłość i wzniesioną rezydencję na Mokotowie księżna Izabela z Czartoryskich Lubomirska, co rozszerzono w popularnej tradycji i układni na: „Moja chatka”, z którego to nazwania – *Mon*

coteau – wywodzono (jak się okazuje błędnie i niepoprawnie¹⁾ pochodzenie nazwy Mokotów, ale które przylgnęło na trwałe do tej odległej od ulicy Mokotowskiej, i jak już zwracaliśmy uwagę, właściwie dla niej niedostępnej – leżącej na południu dzielnicy miasta.

Mokotowska – Koszykowa – Aleja Róż – Chopina – Piękna, to pierwsze poznane, zapamiętane ulice w moim mieście. Ilekroć teraz o nich myślę (zwłaszcza kiedy się od nich oddalam), dochodzi do głosu, dobiega mnie rytm wiersza pochodzącego z tamtej właśnie, zupełnie innej jego części, z południa miasta, wiersza napisanego przez poetę mieszkającego na Mokotowie:

„Z rogu Raclawickiej i Miłobędzkiej
(mieszkam w pobliżu)
co dzień jeśli mi sił starcza
oglądam Pałac Kultury...

Architektura jego nie jest ważna
Ważna jest architektura mojej wyobraźni
Architektura mojej krwi i serca
życia i śmierci
słońca i mgły”.²

Wyprzedzając – zanim wyjaśnię, co ma wspólnego ten wiersz z Aleją Róż, jej okolicą, moim miejscem i moim myśleniem o nim – żeby nie uciekło, od razu postawię i zapiszę tu to pytanie, ważne chyba dla naszych rozważań o ontologii miejsca (nie-miejsca):

Czy mgła i krew to jest miejsce?

Dlaczego zatem pojawia się ten wiersz, kiedy myślę o Alei Róż i okolicach, skoro w miejscu, w którym mieszkam wszystko jest na odwrót, inaczej? Aleja Róż to przecież nie Pałac Kultury. Można by powiedzieć, że wręcz przeciwnie. Jednakże, chociaż wszystko tu jest na odwrót i inaczej, ale sedno, to, co ważne, pozostaje to samo. Z moich okien (które wychodzą na Plac Zbawiciela i Mokotowską) nie widać Alei Róż – leży ona (od północy) za plecami domu, w którym mieszkam i może to właśnie sprawia, że gdziekolwiek bym się znalazł (nawet gdy mam ją przed oczyma), czuję, że mam ją zawsze za plecami, z tyłu głowy. Z okien zaś patrzących na Mokotowską (na zachód, czy na północny zachód, jak się z nich wychylić) nie widać Pałacu Kultury, chociaż jeszcze przed kilkunastu laty było to możliwe. Można było, patrząc w stronę odległych Alej Jerozolimskich, zobaczyć widoczną z daleka jego górną wieżyczkę z iglicą wystającą ponad dachami „trzy piętrówki” – jak ją nazywaliśmy, z wyższością mieszkańców piątego piętra – nad dachami kamienicy stojącej *vis-à-vis* na Mokotowskiej, ocalałej z wojny, tak samo jak nasz ośmiopiętrowy dom, przy Placu Zbawiciela po tej stronie ulicy. Dziś jest to już niemożliwe. Kilka lat temu, po wyprowadzeniu z niej lokatorów, „trzy piętrówkę” wydłubano od środka, zostawiając częściowo zewnętrzne ściany, dobudowano dwa oszklone, „nowoczesne” piętra, podciągnięto dachy, zasłaniając

tamten widok. Nie wiedzieć czemu tę nowo powstałą budowlę-atrapę wzniesioną w miejscu starej warszawskiej kamienicy (Mokotowska 19) nazwano „Renaissance”. (Chyba tylko dlatego, żeby zawiesić ją na stronie reklamowej w wirtualnej przestrzeni, nazywając teraz ten staronowy dom „rezydencją”, a wraz z jej fotografiami porażające i nieświadome swej ironii, groteski i szyderstwa hasło: „Odrodzony dla biznesu”). Umieszczono w niej bank. Nie da się już stąd – przez niego – zobaczyć nawet koniuszka Pałacu Kultury.

„Architektura (jego) nie jest ważna. Ważna jest architektura (mojej) wyobraźni”, pamięci... To kolejne wątki, pytania i zagadnienia, które wiążą się z pojmowaniem miejsca i które warto tu, od razu, dopisać z zaznaczeniem, że przecież tak wyobraźnia, jak i pamięć, jakby nie wiem jak były niedoskonałe i ulotne, niepewne, niejasne niczym otaczająca i spowijająca je mgła, wyrastają z konkretów, faktów, opowiadań o nich. Miejsce jest żywym ich wiązaniem.

Zarysowawszy więc z grubsza tę topografię, po której będziemy się poruszać, wyznaczoną od Placu Zbawiciela po Aleje Jerozolimskie, czasami tylko wychodząc poza jej granice, muszę zaznaczyć, że to, co chcę tu powiedzieć, czy też co zdołam tu powiedzieć, będzie zaledwie komunikatem (szkicem, fragmentem) z tego (mojego, naszego) miasta, niezwykłego miasta, jakim jest Warszawa. Mam na myśli jej ostatnią, wyjątkową historię (przynajmniej pod względem zastosowanej technologii), jedyną w nowoczesnej historii miast, jaka była jej udziałem: doświadczenie zagłady miasta. Miasta, z którego wysiedlono, wypędzono wszystkich jego mieszkańców (nie licząc takich jak Szpilman, pianista – „Robinsonów warszawskich”, którzy ukrywając się, pozostawali na tej bezludnej wyspie, w jej pustce, w jej dogasających ruinach) i w którym Niemcy kontynuowali systematycznie realizowaną – dom po domu – akcję niszczenia miasta, zrównania go z ziemią. Zaplanowaną zagładę Warszawy, tak, żeby nie pozostał po niej kamień na kamieniu.

Muszę także usprawiedliwić się, że często będę tu korzystał z długich cytatów, ale to, że będę po nie sięgał, nie wynika wcale z lenistwa, i nie tylko uciekać się będę do nich w przypadku, „kiedy sił mi nie starczy”, ale z przekonania, że opisane w nich zdarzenia, fakty, ludzie i ich odczucia związane z niezwykłością i dziwnością tego miasta zbiegają się z moimi, wyrażając je o wiele lepiej aniżeli ja mógłbym to zrobić. Autorzy tych zapisów o wiele wcześniej zwrócili uwagę na ów niejasny status tego modelowego niemal dla naszych rozważań przypadku „miejsca – nie-miejsca”, miasta widmowego,³ miasta/nie-miasta, „dziwnego miasta”, jakim jest Warszawa. Mogę tylko liczyć na to, że będzie mi to wybaczone i przyjęte z wyrozumiałością w dobie cieszącego się uznaniem i wszechwładnie panującego dziś autorytetu Waltera Benjamina i jego pasaża, owego realizowanego przezeń projektu własnego pisania przy pomocy samych cytatów, które składałoby się z samych cytatów, projektu będącego odtąd pokusą

i marzeniem dla każdego dziś piszącego autora (i jakże niebezpieczną zwłaszcza dla mnie, zdaję sobie z tego sprawę). Ale zdecydowaniu się tu na obszerne cytaty i przytoczenia towarzyszyła inna intencja. Moimi przewodnikami, z których czerpał będę najobficiej, są autorzy z pokolenia powojennego, po zagładzie miasta, w których pisaniu o Warszawie odnajduję właśnie ten wspólny ton, który współgra też z moimi odczuciami i doświadczeniami na temat tego miasta: miejsca (?), nie-miejsca (?), o wiele lepiej uchwycony i wyrażony, aniżeli w najśmielszych marzeniach ja bym to potrafił i, jak już wspominałem, zapisany przez nich wcześniej. Mam tu na myśli warszawskie pisanie, warszawskie pasáže poetki, pisarki Małgorzaty Baranowskiej zawarte w jej *Pamiętniku mistycznym* (pierwsze wydanie w Czytelniku, Warszawa 1987; drugie w słowo/obraz terytoria, Gdańsk 1998) zwłaszcza w zamieszczonym tam rozdziale *Rozbiórka* (1974-75), czy w jej książce *Warszawa – miesiące, lata, wieki* (1996), w *Prywatnej historii poezji* (1999) i w ostatniej książce wydanej tuż przed jej śmiercią: *Wracam na Ochotę* (2011).⁴ Dalej mam na myśli niezwykle warszawską książkę Marty Zielińskiej *Warszawa – dziwne miasto* (1995) i jej teksty, jak np. *Miłosz w Warszawie. Percepcja przestrzeni nieoswojonej*⁵ oraz książki i teksty Jacka Leociaka ze szczególnym uwzględnieniem tegoż: *Miłosz patrzy na getto. Paradoksy bliskości i oddalenia w doświadczeniu przestrzeni Warszawy okupacyjnej*⁶ i jego esej *Ulica Elekoralna* zamieszczony w książce *Geografia Słowackiego* z rozszerzonym tytułem o cytaty wzięty od poety: „Widziałem rzutem oka cały kawał ziemi...”⁷

Zasadnicza moja intencja, zatem, w obfitym cytowaniu tych trojga autorów, literaturoznawców z Instytutu Badań Literackich (znających się, zresztą ze sobą dobrze, ze wspólnej pracy w Instytucie, w warszawskim Pałacu Staszica), jest taka, by zachęcić w ten sposób czytelnika do sięgnięcia do ich pełnych tekstów, tworzących nie tylko pewną szkołę i kanon czytania i pisania miasta, ale wręcz których prace mogą stanowić klasyczną literaturę przedmiotu dla tych, którzy zajmują się, czy chcieliby zajmować się antropologią (innych) przestrzeni, ontologią „miejsca / nie-miejsca”, nowymi (i starymi) topografiami i topologiami. Miastem, „dziwnym miastem”, „miastem widmem”, „miastem zamiast” – jak określić by można, idąc za etymologicznym wywodem Aleksandra Brücknera – (odbudowaną i nie- odbudowaną) Warszawę, Warszawę po zagładzie.

W swoim wywodzie Brückner nie pozostawiał wątpliwości, że Miasto to miejsce: „**miasto**, *mieścić*; zdrobniałe *miastko* i *miestce* (z czego: *miejsce*); [...] i *miejscowy*, *miejskowość*; znaczyło (i u wielu Słowian do dziś znaczy) tylko ‘miejsce’, ‘locus’ (stąd *umieścić*, ‘ulożować’) i ocalało w tem znaczeniu jako przyimek i przysłówki: *na tem mieście* (XV wiek), zastąpione już w XVI wieku zupełnie przez *natychmiast*, wedle od *sich miast* (jak jeszcze na początku XV wieku mawiano; później tylko *odtychmiast*); *natemieście* i *natymieście* piszą z jednym *m*; «*miasto* czego», «*zamiasto* (i *namiasto*) czego», skrócone w *zamiast*, *na-*

miast, a nawet i *miast*, od XVII w. [...]. Już w XIV wieku występuje [...] a samo *miasto* [...] zastąpiło dawną nazwę 'grodu' [...], co i 'locus', i 'civitas' oznacza." ⁸

Ale pomimo tego wyводу i pewności idącego za nim stwierdzenia, że miasto to „miejsce”, ze wszystkimi zawartymi i obecnymi w nim niuansami – uwzględniając także i te popularne opinie o Warszawie, które mówią, że „nie da się w niej żyć”, że to „największa wieś w Polsce” itp. – Warszawa wciąż pozostawia wątpliwości i niepewność czy jest więcej, i w bardziej mocnym znaczeniu tych słów: „miejsce” czy raczej „nie-miejsce”, „miejsce (miastem) – zamiast” (tamtego zniszczonego miasta i zamiast tego miasta, w którym „da się żyć” i w którym naprawdę się żyje, a z którego się do niej tylko przyjeżdża; „miejsce”(?) / „nie-miejsce”(?), do którego się tylko przyjeżdża).

A może z tego względu, w tym najgłębszym sensie i znaczeniu obu słów, gdy wypowiadamy je, już nie jako przeciwstawne sobie, lecz razem, jednym tchem (na tym miejscu, natychmiast) i jednocześnie – jest właśnie tym, obejmującym oba słowa, już jednoczącym je w jego mocnym znaczeniu: „miejsce – nie-miejsce”? Pozostając przy tej niepewności, która będzie nam tu stale towarzyszyła, porzucając już tę niepustą wcale grę słów i poczyniwszy te wszystkie wstępne uwagi i zastrzeżenia, wracam do zarysowanej mojej topografii, wyznaczonej ulicami Mokotowska – Koszykowa – Aleja Róż – Chopina – Piękna, do mojego pasażu warszawskiego (nieopisanego jeszcze przez wyżej wspomnianych autorów) – do Alei Róż.

Aleja Róż to ulica poetów. Mieszkał na niej po wojnie, na krótko, Władysław Broniewski, ale także: Konstanty Ildefons Gałczyński, Antoni Słonimski, Adam Ważyk. O dwóch z nich, którzy mieszkali tu na dłużej – Gałczyńskim (1948-53) i Słonimskim (1957-76) – przy Alei Róż pod numerem 6, mówią dwie zawieszane tam tablice. Aleja Róż wiąże się z jeszcze jednym poetą. Należy do tych warszawskich ulic, których nazwy tak zafascynowały – (pisał o tym w swojej książeczce o Petersburgu⁹ Jarosław Iwaszkiewicz) – Aleksandra Błoka, który z Petersburga przybywał do Warszawy w 1909 roku, do umierającego, tu właśnie, w Alei Róż, ojca i opisywał tę podróż w swoim warszawskim, „polskim” poemacie *Odwet*, umieszczając na okładce rękopisu *Odwetu*: zapis, szyfr: *Ojciec. Polska*¹⁰:

„Ojciec w «Alej Róż», w lecznicy
Z posłania dźwignąć się nie może,
A syna pociąg wśród śnieżycy
Znad ojczywego wiezie morza...”¹¹

I rzeczywiście z tymi nazwami ulic w Warszawie, ich urodą i pięknem, jakie zauważył i dostrzegł poeta przyjeżdżający do tego miasta z zewnątrz, jest coś na rzeczy. Idąc od najbliższej położonych Alei Róż ulic (ale i potem dalej w miasto): Koszykowa – Piękna – Krucza – Wilcza – Ho-

ża – Wspólna – Żurawia – Plac Trzech Krzyży – Książęca – Nowogrodzka – Aleje Jerozolimskie – Nowy Świat – Smolna – wychodząc poza nie (poza linię Alej Jerozolimskich) i daleko przed nimi: Bagatela – Klonowa – Wiśnio-wa – Polna – i blisko za nimi: Dowcip – Widok – Chmielna – Zielna – Próżna – Bagno – Grzybowska – Chłodna – Ogrodowa – Rysia – Ptasia – Wronia – Pawia – Smocza – Mysia – Sowia – Miła (znana i pamiętana, z przedwojennego jeszcze wiersza Broniewskiego: „Ulica Miła wcale nie jest miła. / Ulicą Miłą nie chodź moja miła”) – Dzielna – Spokojna – Dziką – Niska – Prosta – Ciasna – Przechodnia – Niecała – Sienna – Żytnia – Śliska – Wielka – Pańska – Zgoda – Jasna – Biała – Świętokrzyska – Królewska – Wierzbowa – Elektoralna – Twarda – Żelazna – Srebrna – Miedziana – Złota – (znana z pisarstwa jej piewcy, Singera) Krochmalna – Zimna – Ciepła – Wierzbowa – Miodowa – Piwna – Krzywe Koło – Brzozowa – Lipowa – Ludna – Radna – Dobra – Szara – Rozbrat – Okrąg – Żabia – Zajęcza – Kozia – Koźla – Żółwia – Gęsta – Browarna – Bolesć – Bugaj – Śmiała – Bitna – Czujna. Trzeba przyznać rację, że te pełne urody nazwy ulic,¹² przydające im osobowości, jak nigdzie indziej, w Warszawie robią wrażenie. (I nie odejmie im nic nawet zabawa słowna, którą ponoć, jak mówi o tym znana w Warszawie anegdota, uprawiali przed wojną Kisiel (Stefan Kisielewski) bodaj z Zygmuntem Mycielskim, którzy tu w najbliższej okolicy, wychodząc od Pięknej i zaczynając od Kruczej, zabawiali się, dodając do każdej ulicy kolejno słowo „dupa”: Piękna, Krucza, Wilcza, Hoża, Żurawia, Wspólna itd.).

Kiedy byłem dzieckiem i chodziłem czy przebiegałem Aleją Róż do Ogrodu Ujazdowskiego i Doliny Szwajcarskiej, oczywiście nie miałem pojęcia nie tylko o tym, że mieszkają tam poeci, ale i tym bardziej nie mogłem mieć żadnego, nawet błędnego pojęcia, że powstawał wtedy, w Alei Róż, w tamtym czasie (został napisany dokładnie kiedy miałem pięć lat) wiersz, który tak mocno oddaje istotę warszawskiej rozpaczliwej charakterystycznej dla tego „miejsca – nie-miejsca” i miasta, w którym się urodziłem. Dopiero kilkanaście lat później mogłem odkrywać i pojmować jego znaczenie w odsłanianiu i uchwyceniu podwójności tego miasta i miejsca, w którym żyję i po którym chodzę: podwójnej jego rzeczywistości. *Poemat dla dorosłych* na zawsze zrósł się z naturą tego miasta i jego pasaży:

1.

Kiedy wskoczyłem przez pomyłkę do innego autobusu,
ludzie siedzieli jak zwykle, wracali z pracy.
Autobus pędził ulicą nieznaną,
ulico Świętokrzyska, nie jesteś już Świętokrzyską,
gdzie twoje antykwariaty, księgarnie i uczniacy?
Gdzie jesteście, umarli?
Pamięć po was ginie.
Wtedy autobus stanął
na rozkopanym placu.

stary grzbiet czteropiętrowej kamienicy
czekał na wyrok losu.
Wysiadłem na placu
w robotniczej dzielnicy,
gdzie szare mury srebrzą się od wspomnień.
Ludzie śpieszyli się do domu.
Nie śmiałem ich zapytać, gdzie jestem.
Czy nie tutaj chodziłem w dzieciństwie do apteki?
Wróciłem do domu,
jak człowiek, który poszedł po lekarstwo
i wrócił po dwudziestu latach.
Żona spytała, gdzie byłeś.
Dzieci spytały, gdzie byłeś.
Milczałem spocony jak mysz.

2.

Place się wiją jak kobry,
domy się pyszną jak pawie,
dajcie mi stary kamyczek,
niech się odnajdę w Warszawie.
Stoję jak słupnik bezmyślny
na placu pod kandelabrem,
chwale, podziwiam, przeklinam
na kobre, na abrakadabrę.
Zapuszczam się jak bohater
pod patetyczne kolumny,
co mi tam kukły Galluxa
wymalowane do trumny!
Tu młodzi chodzą na lody!
Ach, wszyscy tu bardzo młodzi,
pamięcią sięgają ruin,
dziewczyna wkrótce urodzi.
Co wrosło w kamień, zostanie:
patos pod rękę z tandetą,
tu będziesz uczył się liter,
przyszły warszawski poeta.
Kochaj to zwykłą koleją,
inne kochałem kamienie,
szare i wzniosłe prawdziwie,
w których dzwoniło wspomnienie.
Place się wiją jak kobry,
domy się pyszną jak pawie,
dajcie mi stary kamyczek,
niech się odnajdę w Warszawie.

Adam Ważyk, *Poemat dla dorosłych* [1955]

2. Raport z dziwnego miasta

Jeśli zgodzimy się co do tego, że ruiny to „nie-miejsce”, to Warszawa powojenna w zupełności spełnia ten warunek. Ruiny, cegły, niebo, wąwozy, przesmyki, przejścia pomiędzy ruinami rozwalonych domów, dukty zastępujące dawne ulice, duchy ulic, „księżycowy krajobraz” to powtarzające się elementy obrazu tego miasta. Dziwnego miasta – jak o Warszawie mówią autorki należące już do powojennego pokolenia, najpierw Małgorzata Baranowska, potem Marta Zielińska, u których w ogóle po-

jawia się ów motyw jakby po raz pierwszy, wspierany innymi wypowiedziami i świadectwami w sposób nie tylko przemyślany, ale i przeżyty na własnej skórze, istotny.

W swojej ostatniej książce *Wracam na Ochotę*, wydanej w 2011 roku Małgorzata Baranowska roku – autorka, której pisanie tak zrosło się z Warszawą, że ktoś mógłby się zapytać, skąd się jej to wzięło, skoro urodziła się w Krakowie w 1945 roku (ale tylko ktoś, kto nie pamięta o tych wszystkich mieszkańcach wyprowadzonych, wysiedlonych, wygnanych, wypędzonych z miasta po powstaniu warszawskim i tego doświadczenia, jakie było udziałem wielu warszawiaków, którzy nie zdążyli się urodzić w „tamtej” Warszawie, i których rodzice i krewni znajdowali schronienie po powstaniu w Krakowie i w całej Polsce i która po trzech latach wracała z nimi do tego miasta, zazwyczaj datowała swoje wpisy, jak w *Pamiętniku mistycznym* czy w *Prywatnej historii poezji*, dlatego też położyłem i tu tę datę) – pisze:

„Podstawowym krajobrazem mojego dzieciństwa są ruiny. Ich ostre krawędzie i wysokie ściany z oknami donikąd powoli znikają w kolejnych rozbiórkach i odbudowach. [...]”

Naszemu życiu towarzyszył stale, brązowawy od czerwonych drobinek cegły, pył, który wdierał się wszędzie i powodował na ulicach Warszawy powstawanie jeszcze większej ilości obecnego tu od wieków błota. Przyczyniały się do tego ciągle odbudowy i budowy. W latach 70. Miron Białoszewski wspominał, że pył z rozbiórek, z przemielonej Warszawy chrząścił w zębach, (a teraz w latach 70.) z wielką chęcią by taką cegłą zjadł. Do wielkiej płyty trudno się przywiązywać.

Wśród różnych niefortunnnych, lub zgoła skandalicznych, decyzji podjętych w odbudowywanej Warszawie za straszny błąd uważam nie pozostawienie ani jednego «pomnika gruzów», jakiegoś malutkiego choćby skansenu”.

I dalej podaje w przypisie: „W podobnym tonie wypowiedział się w 1950 roku na łamach „Tygodnika Powszechnego” Leopold Tyrmand. Pisał: «[...] przyszło zniszczenie Warszawy i kościół św. Aleksandra zamieniony został we wspaniałą, pełną tragicznego wyrazu ruinę o jednej sterczącej wieży i boleśnie rozłamanych kolumnach, zaś lata po wojnie przyniosły słynne katakumbowe nabożeństwa w krypcie kościoła, które wzmagają głębokie piękno tego miejsca i przywiązanie doń warszawiaków. Zdawało się, że resztki murów będą udrapowane i zakonserwowane z czcią na wieczne przypomnienie strasznego gwałtu dokonanego na świątyni, lecz zapadła inna decyzja» [...] «dopiero po kompletnej odbudowie te szczątki kościoła nabrałyby swego właściwego wyrazu. Dopiero zorganizowane i zakonserwowane, leżące w centrum ożywionej arterii na tle wielkich grających życiem budowli, znalazłyby w sobie nieporównywalną siłę oskarżycielską [red.]»”. „Oczywiście – pisze dalej Baranowska – że wszyscy dążyli do swojego mieszkania. Wszyscy chcieli chodzić po normalnej ulicy. W każdym kącie, w najmniejszej suterence gnieździł się jeszcze długo po

wojnie ludzie i nikt przecież nie chciał hodować ruin. Ale ktokolwiek spróbuje na Woli, w Śródmieściu na Muranowie wbić tylko kilof w ulicę, w ścieżkę, w trawnik, natyka się na gruz. Dlaczego udawać, że tego nie ma?” (WnO, 10-11).

Wcześniej jeszcze bardziej drażyła ten temat w *Pamiętniku mistycznym*, w *Rozbiórce* (1974-75), wyznając swoją niechęć do czasu linearnego, czy też niemoc bycia jego zwolenniczką:

„Po prostu dlatego, że nie jestem w stanie – jestem skażona miastem, w którym się nie urodziłam, ponieważ nie bardzo się ono wtedy do tego nadawało. W czasie linearnym, tym, który uważa się w naszej kulturze za jakby bardziej naturalny, a w każdym razie bardziej docelowy, w tym okresie miało ono przestać istnieć i nawet częściowo przestało. Trzeba jednak powiedzieć, że nie bardzo umarło i, jak podejrzewam, życie w nim (od trzeciego mojego roku życia i od 48 roku naszego wieku) nauczyło mnie mojego podejścia do czasu. Czy też, jeśli wolicie, życie w nim natchnęło mnie myślą, że to ono – to dziwne miasto – musiało ukształtować moje pojęcie o czasie, i o możliwościach życia w czasie, myślenia o tradycji, dziedziczenia w tradycji, tworzenia tradycji, używania jej, przeciwstawiania się jej.

Ono także poddało mnie zniewoleniu tradycją, żeby odsłonić mi jej działanie tajne i jawne, zewnętrzne wobec mnie i wewnętrzne. Zastałam je odsłonięte i tajemnicze, rojące się ludźmi, przechodzącymi między zwalami murów, pokryte młodymi wierzbami, które na wiosnę kwitły, puszczały baze, zakrywały wyrwy, cegły kruszące się dawały pożywienie trawie; potem ludzie wyrwali trawę, oddzielali ją kilofami, odsłaniali następne cegły. Ono dostało mnie w swoje ulice lub przejścia, lub przeskoki, lub przełazy, lub aleje, lub rozbiórki, lub wąwozy, całkowicie nie przygotowaną i jednocześnie zupełnie i jedynie przygotowaną do życia w nim”.

„Tutaj to miasto unieważniało tamten czas [doświadczany poza Warszawą – przyp. ZB], kpiło z niego całą siłą swojego ruchu. Czas tutaj wybuchł zupełnie niespodziewanie w różnych miejscach, nagle zwykle trwanie, pochodzące z ciągle dla mnie podejrzanego czasu linearnego, zmieniało się we wspaniałą, rozpoznawalną *r ó w n o c z e s n o ś ć* [podkreślenie moje – ZB], różniącą się od uznanego kalendarza, dziejącą się w innym rytmie, niekiedy na różnych, niekiedy tożsamyh przestrzeniach. Na razie pozostawałam w magicznej i rzeczywistej przestrzeni tego miasta, w którym ciągle od nowa słyszało się za każdym razem inną historię każdego domu i każdego kamienia, tych zwłaszcza, do których raz po raz wracali dawni mieszkańcy. Dla każdego toczyła się tu inna historia, a nawet, co innego się mu jawiło wśród tych samych gruzów i tych samych pozostałości” [Pm, 79-80].

Czas inny, równoczesność czasów, dosłownie trzeba by powiedzieć ten stos czasu odsłonięty i ujawniający się w ruinach tego miasta, w rozwalonych, przeciętych bom-

bami jego domach, odsłaniających, odkrywających i zestawiających ze sobą nie przeznaczone przecież do równoczesnego oglądania, izolowane od siebie wnętrza sąsiadujących ze sobą mieszkań, „pomalowanych na różne kolory prostokąty ścian”, tapet, resztek rzeczy i sprzętów, to kolejne cechy tego dziwnego miasta: „Niekiedy wystawał hak na obraz albo odsłaniał się kawałek umywalki” [Pm, 88.]. Czy, jak ten kominek wiszący w górze na ulicy Kredytowej, który opisuje Baranowska w *Pamiętniku*: „Znałam, jak sądzę, niezliczoną ilość zdeintegrowanych mieszkań, najbardziej przywiązana byłam do białego marmurowego kominka, który podziwiałam przez wiele lat, gdy absurdalnie unosił się on nad Kredytową, do chwili kiedy odnowiono dom naokoło niego i gdy znikł mi z oczu, i usiłuję myśleć, że ukrywa się we wnętrznościach tego domu, chociaż podejrzewam jednocześnie, że go obłupano i wyrównano. Wróćmy jednak do zasady świata, przynajmniej tej, którą odkryło mi miasto. Zasadą tą była – równoczesność. Przerazało mnie i zachwycało, że w tym samym czasie przedzielone paroma ceglami dwa, trzy, cztery, w końcu niezliczone kolory kładły się obok siebie, dalej od siebie i jeszcze dalej od siebie, nic o sobie nie wiedząc. Nie gryzły się ani nie dopełniały, bo były zamknięte w sobie, w jakichś całosciach, nie mogły się spotkać. Operacja podobnego rozumowania wzbogacona o ludzi, którzy w tych ścianach mogli mieszkać, mieszkali przecież, przyprawiała mnie o zawrót głowy, nie wiedziałam też, czy myśleć o nich jako o żywych, czy nie” [Pm, 88-89].

Ruiny „ukazywały coś, czego w żaden sposób odkryć nie można, choćby nie wiem nawet ile domów lalek ustawiono na wszystkich scenach świata i pokazywano w nim związki między jednym mieszkaniem a drugim. Nawet jeśli na naszych oczach zbudują schody, nie jest się w stanie zrozumieć tego, co dzieje się, kiedy mamy przed sobą schody zburzone. Brak wiązań między poszczególnymi częściami, brak następstwa, brak tego, co poprzedzało, nie ma tej ukochanej w linearnym czasie celowości. Pokój na czwartym piętrze bez schodów jest absurdem, z niczym się nie wiąże, w czasie linearnym oczywiście. W innych czasach może on sobie żyć dalej innym życiem i żyje przecież w kimś, kto znał odległość od okna do drzwi nie tylko w krokach, ale nawet w półkrokach, zakrętach, w uchyleniach się przy meblach. Ten pokój trwa i żadne następstwa czasów go nie zburzą” [Pm, 86].

Baranowska (w tym mieście) liczy swój czas „*Ab urbe destructa*”, zwracając uwagę na wszystkie niuanse takiego liczenia czasu: „To było znacznie później. To znaczy ile? Dwanaście, trzynaście lat? Jeżeli ja miałam dwanaście, to znaczy było to trzynaście lat od zburzenia miasta, niecałe trzynaście. [...] Odkąd pamiętam, tutaj, w tym dziwnym mieście jest «po wojnie», «tuż po wojnie», «trochę po wojnie» i tak po kolei aż do teraz. Tym się to miasto różni od tego wcielenia różnych miast, w którym czas liczył się od «założenia miasta». Dla mnie czas od założenia wydaje się odległy i nieważny, chociaż czuję w nim pociągającą, nie-

znaną całość, mój czas jest inny. Już się nie dziwię, kiedy się w moim, niby nie znającym wojny pokoleniu pisze o wojnie. Bo wojna istnieje, nie da się jej zatrzymać równymi nowymi kamienicami, trawnikami, parkami. Trawniki pośrodku miasta mają pod sobą gruz” [Pm, 98-99].

Podobnie o czasie w *Warszawie – dziwnym mieście* pisze Marta Zielińska, o tym innym (tym samym) doświadczeniu czasu w tym miejscu po wojnie. Też pamiętam dobrze tę cezurę, tak często pojawiającą się w języku, jakim mówili, jakim posługiwali się rodzice i starsi, w którym to magiczne określenie „przed wojną” (czytaj też: „przed zburzeniem miasta”), „przedwojenny”, „przedwojenna” pojawiało się tak często i było synonimem, służyło im na określenie czegoś prawdziwego, co było „naprawdę”, co miało prawdziwy smak, wygląd, zapach, jakość (czasem taki prawdziwy sznyt), kształt.

Pisze o tym zaraz na wstępie Marta Zielińska:

„Ale chyba to właśnie mojemu pokoleniu rosnącemu w Warszawie historia ofiarowała jedyne w swoim rodzaju doświadczenie dziwności tego miasta. Urodziliśmy się bowiem w miejscu niegotowym, na pół istniejącym, niewyraźnym. I choć nasi rodzice także się tu urodzili, to jakby całkiem gdzie indziej. Dla nas tamta Warszawa pozostała za tajemniczą zasłoną wojny, a ściślej powstania. Za nieprzekraczalną barierą.

Długo w dzieciństwie nie mogłam pojąć istoty owej bariery, dlatego w rozmowach tak oddzielano to, co było przed powstaniem, od tego, co po nim. Przecież przez cały czas trwała wojna, czemu więc jeszcze takie dodatkowe wyróżnianie? Wojna w wojnie? Dużo czasu upłynęło, zanim zrozumiałam, że wtedy zniknęło całe nasze miasto, że nastąpił jakby koniec świata. Wcale się teraz zresztą nie dziwię, iż ta groza do kwadratu nie chciała mi się zmieścić w paroletniej głowie. Zwłaszcza, że to miasto zniknęło i nie zniknęło, bo dorośli wspominali o nim, jak gdyby dalej stało na swoim miejscu. Wierzyło się na słowo, bo trudno było samemu pójść i sprawdzić, przekonać się, że mówią o przeszłości. Dzieci w innych miastach też najpierw słyszą o bliższych i dalszych ulicach, a potem, w miarę dorastania, mogą się z tym, co usłyszały, identyfikować. Nam natomiast wykreowana w wyobraźni, zlepiona ze wspomnień starszych idealna wizja Warszawy nigdy się później nie zgodziła z rzeczywistością. Było się, więc niby u siebie, ale niezupełnie. Tym bardziej, że i miejsca, które sami poznaliśmy w pierwszych dziecięcych doświadczeniach, po prostu zarosły, przeobraziły się, zostały zabudowane lub przerobione. A zatem, choć jesteśmy rodowitymi warszawiakami, to nie za bardzo mamy się z czym utożsamiać. Starsi mają przynajmniej tamtą nienaruszoną zapamiętaną Warszawę – my tylko kawałki, fragmenty, pomieszczone w czasie i przestrzeni warianty miasta prawdziwego i fantasmagorycznego jednocześnie. Dużo niby, a przeraźliwie mało.” [Wdzm 5-6].

„Dym ani luna, ani płomień nie były moim udziałem, miałam udział w gruzach, już innych, z jakąś nadzieją absurdalną na ich scalenie, zjednoczenie w miasto” –

pisala Baranowska, która – „przez pamięć krajobrazu, dnia codziennego, zmian, ocalań” – liczyła swój czas *ab urbe destructa*. (...) „Może oni lepiej znali domy i ulice przedwojenne, ale my znaliśmy lepiej gruzy tego miasta.” [Pm, 106].

Gruzy, kamienie („dajcie mi stary kamyczek”) cegły, sny, duchy ulic – tak nazywać by się mogły kolejne odrębne rozdziały tego raportu z dziwnego miasta. Ich opisy pojawiają się u obu autorek. O ile jednak u Baranowskiej spotykamy się z czymś, co można by nazwać fenomenologią gruzów, osadzonych w naturze tego miasta, to u Zielińskiej tropiącej pozostałości, ślady, duchy ulic i miejsc akcent położony jest na fantasmagoryczności tego „miejsca – nie-miejsca”, jakim jest Warszawa.

Pisze Baranowska: „Mowa interesowała mnie od dawna. Albo słowa, albo piski, albo płacze albo krakania, albo ćwierkania, rżenia, ujadania, milczenia, stukania (byłam przekonana, że dzieciółki mówią stukając), Zofijo, Zofijo – wilgi, ohydny krzyk pawia, beczenie baranów, muczenia, miałczenie. [...] Różnice językowe mnie nie niepokoiły. Nie rozumiałam zbyt dobrze wilgi. A czyż rozumiałam te wszystkie dziwne słowa, które wymawiali dorośli? [...] Raczej martwiłam się, że niektóre stwory, do których zaliczałam także cegły, wcale nie mówią.

Cegły nie były zwierzętami, ludźmi, kamieniami nawet. Nie miały duszy tylko ciało. Tak. Niczego nie znałam tak dobrze, jak chropowatego ciała cegły, brunatna, czerwona, pomarańczowa, pomidorowa, różowa, twarda, chropowata, pylista, kawałkowata, oblepiona tynkiem, nieforemna, bardzo foremna, nasiąknięta wodą, zmurszała, nie przepuszczająca wody, cała, ułomna, przeniesiona, zabrana, znaleziona, usypana, w kawałkach, w przykach, w tysiącach, w bilionach może, było mi równie obojętne, cegła była mi równie bliska” [Pm, 65].

„Dostępność jej była przerażająca i zwyczajna zarazem – pejzażowa. Jak jakiś gigantyczny ceglany kamieniołom. Cegła zdradzała warstwy wojny osadzone na mieście czy raczej zdarte z niego, z piwnic, z kanałów, z placów”. [Pm, 100].

„Co prawda, cegły odzywały się, od rana do nocy układane, przenoszone, rzucane, zbierane.

Cegły z rozbiórek niedługo potem podawałam jako dwudziestą piątą, albo któraś inna w długim wężu, składającym się z dzieci w granatowych i białych, potem jeszcze w granatowych, białych i czerwonych chustach. [...] Jeszcze nie wiedziałam, przeczuwałam jednak, że te same cegły, które należały do różnych całości nie znanych mi, dotykane i oglądane na kupie, potem w wężu od ręki do ręki, a potem w kozłach, a potem noszone w nosilkach, więc przecież już znane, przeczuwałam, że te same cegły stworzą inne całości. Do dziś pojęcia nie mam, czy te cegły ze Starówki zostały użyte właśnie do jej budowania, ale wyobrażam sobie, że tak, i jakoś najbliższy mi jest proces, w którym stare cegły wmontowuje się w nowe całości i pokrywa nowymi tynkami (stare się z nich odłupywało przy rozbiórce), a nowe tynki pokrywają się farbą.



I ja je tam ciągle przeczuwam, chociaż pod farbą nie sposób rozpoznać. A przecież być może wykonano nowe. Ja jednak tego faktu nie uznaję, co innego wielkie betonowe płyty, jak plomby, albo jak jakaś awangardowa przyszłość wobec muzeum gruzów czy ciała gruzów. Mnie się ciągle wydaje, że wszystko w tym mieście, jeśli nie w całości, to choć w małych częściach złożone jest z cegieł znanych mi z dzieciństwa. No bo gdzie się podziały te miliony odkrytych, czerwonych, okaleczonych cegieł, jakie znałam?” [Pm, 83-84].

Nawet w połowie lat siedemdziesiątych, obserwując odbudowę Zamku Królewskiego, i „paradoxy, które uparły się ścigać to miasto”: „Dla niektórych Zamek wypełnia nienaturalną lukę, dla mnie jest nienaturalną bryłą, która zasłania miejsce, gdzie przywykłam widzieć niebo” – odnajduje „te same cegły”. „Zamek jest dla mnie bliższy, widzę jego fazy budowy. Dziś prawdziwe cegły. Wchodzę do nie wykończonego wnętrza, patrzę na ściany i wszystko powtarza się. Znany zapach cegieł, mokrego muru. Ta bryła zrobiona z wyraźnie nowych cegieł, nosi dla mnie piętno tych wszystkich, które w dzieciństwie widzieliśmy na Starówce okaleczone, odarte z tynku, używane raz jeszcze. Cegły wydają mi się tymi samymi, które już raz zginęły. Wiem, że to niemożliwe. Te wyglądają na nowe, to nic nie zmienia. [...] Widzę go po raz pierwszy, ale przekonana jestem, że kiedy nałożą tynki i farby, których tylko ostatnią warstwę będziemy znać, te warstwy schowają wszystkie poprzednie, nałożą się, pochłoną obrazy pozostałe w pamięci tym, którzy się przed nimi urodzili” [Pm, 92].

W tym dziwnym mieście spotkały się sprzeczne, niemożliwe zdawałoby się do pogodzenia dążenia. Z jednej strony to należące do tych wygnanych, wysiedlonych po powstaniu do Pruszkowa, pamiętających „tamtą Warszawę”: „Zobaczyć, wrócić. Dwa niepokonane pragnienia mieszkańców” [Pm, 108]. Z drugiej zaś, to ufundowane przez późniejszą świadomość niemożliwości: „Ja jednak przez to miasto nauczona, przez pamięć, jaka się na nim osadza, widzę warstwy przestrzeni, choćby nie wiem jak wszystko odnowić i zamalować. Nie trzeba mi żadnych objaśnień, a nawet nie mogę uwierzyć, że tutaj gruz, ten z rozbiórek, w którym braliśmy jako dzieci udział, czy ten nagromadzony na ulicach z n i k ł. [...] Dla mnie ów pył, nieregularne kawałki cegły, rozbite kafle były tym, co się nazywa może glebą, z której wyrosłam. Nie wierzę, że ona znikła. To miasto samo sobie oddało jeszcze ostatnie kamiki, po to, żeby wrócić” [Pm, 111].

W tym samym czasie, kiedy miała miejsce odbudowa Zamku Królewskiego (lata 70. *Rozbiórka* została napisana w 1974-75), Baranowska, natrafiwszy na przewodnik Fe-

liksa Kanclerza z 1948 roku (a więc wydany w tym samym roku, kiedy wróciła do miasta), notuje: „Na okładce przewodnika, dziw, że odkryłam go tak późno, po odbudowie Zamku, narysowane są staromiejskie ruiny, Zamku także, a za nimi Duch Zamku, Duch Kolumny Zygmunta, Duch Katedry. Ruiny granatowe, a zarysy w tle niebieskie. Wszystko to malutkie, skromniutkie. Wewnątrz to samo, zdjęcia przedwojenne mieszają się z powojennymi, informacje też, a granice zatarte. I tak każdy mógł porównać, ja tylko, jak i inne dzieci z mojego powojennego pokolenia nie bardzo miałam z czym to zestawić. Zresztą wszystko jedno i tak dopiero trzy lata od ukazania się tego przewodnika zaczęłam naukę czytania” [Pm, 112]. I chwilę dalej, odnosi się do informacji tam zawartej na 41 stronie o zniszczeniu placu Trzech Krzyży w 1944, mówiącej o tym, jak Niemcy bombami lotniczymi zburzyli kościół i sąsiednie kamienice, i do znajdującego się tam komentarza zapisanego rozstrzelonym drukiem, gdy mowa o gruzach: „«Na ich miejscu wznosi się obecnie gmach Ministerstwa Przemysłu i Handlu, zamykający ulicę Wspólną. W tym budynku zastosowano g r u z j a k o m a t e r i a ł b u d o w l a n y». Dla mnie – notuje Baranowska – nie trzeba pisać tego zdania spacją, i tak w komentarzu zauważę warstwę, która umyka nawet moim własnym oczom, kiedy przechodzę przez Plac Trzech Krzyży” [Pm, 112].

Marta Zielińska swoje warszawskie pasaże rozpoczyna w 1989 roku¹³ od placu Defilad, od tej czarnej dziury pośrodku miasta, „największego placu w Europie” – jak nazywał go Tyrmand – na którym wyrósł Pałac Kultury:

„W północnym i południowym krańcu placu, tak mniej więcej na wysokości Poznańskiej, leżą wmurowane w chodnik dwie tablice pamiątkowe. Istniała jeszcze i trzecia, ale już jej nie znalazłam, zniknęła za płotem wykopków. Podobnych tablic nie ma chyba żadne inne miasto. Nie upamiętniają one ani ludzi, ani zdarzeń, lecz zaznaczają zwyczajne skrzyżowania. Na jednej napis z brązu głosi: «Tu było skrzyżowanie ulic Wielkiej i Śliskiej», na drugiej: «Tu było skrzyżowanie ulic Chmielnej i Wielkiej». Było. Teraz są duchy skrzyżowań. Symboliczne nagrobki – tak tutaj popularne” [Wdzm, 10].

Zielińska buduje swoje pasaże w tym dziwnym mieście z własnych obserwacji i z tekstów ulubionych pisarzy: Prusa, Białoszewskiego, Konwickiego, Singera, Tyrmanda. Przywołuje także *Pamiętnik mistyczny* Baranowskiej. Pisząc o duchach ulic i tych tablicach, zmierza do uchwycenia ducha miasta, zaczyna od Alej Jerozolimskich, bo te tablice właśnie tam blisko nich leżą. No i właśnie, widzę teraz, że wspominając o pięknie nazw warszawskich ulic, które tak zachwyciły Błoka zdążającego do Alei Róż i przywołując je, być może zbyt mało poświęciliśmy uwagi Alejom Jerozolimskim. Czy jest jakieś inne miasto, w którym główna ulica w centrum miasta, aleja – ba! Aleje – nosiłyby taką archetypową dla miasta nazwę? Nie wiem, nie znam. Ale zanim zatrzymamy się przy tej kwestii dłużej i zanim powrócimy do Alei Róż, wsłuchajmy

Na stronie obok:
Warszawa 1945, Plac Trzech Krzyży, ruiny kościoła
św. Aleksandra, Dolina Szwajcarska. Fot. Leonard
Sempoliński, ze zbiorów Instytutu Sztuki PAN.

się w głosy przywołane przez Martę Zielińską (notabene, czy tytuł jednego ze źródeł, do którego odwołuje się i do którego częstokroć sięga autorka – Białoszewskiego *Szumy, złepy, ciągi* – nie jest, i nie li tylko oryginalnym „wymyślonym” literackim chwytem i odkryciem poety, ale – jak zresztą sam autor po trosze to przyznaje – w pewnym stopniu i wynikiem, i w równej mierze odbiciem zarówno ducha tego miejsca, jakim jest Warszawa, jak i wiernym – wiernością temu miastu absolutną – zapisem doświadczenia *post urbe destructa?*).

Pisze Zielińska:

„Także i gruzy zrobiły się cenne, bo były jakimś luksusowym przystankiem pamięci, natomiast wyzywający luksus pałacowej budowli budził zrozumiałe rozdrażnienie. W śmierci ulicy Wielkiej, odnotowanej przez Tyrmanda, znajdziemy takie właśnie uczucia: «Ulica nazywała się Wielka – kiedyś, kiedy istniała. Obecnie stała tu poszarpana przez wojnę i polatana remontami duża kamienica. Ostatnia i przeznaczona do rozbiórki. Jej tłem był kremowy masyw ogromnego wieżowca. Wokół rozciągała się zryta wykopami i sfałdowana wzgórzami materiałów budowlanych przestrzeń największego placu w Europie. Placu, który rodził się w duszącym pyłe, tumanach kurzu, w warkocie koparek, betoniarek, spychaczy.

Po ulicy Wielkiej pozostała jezdnia i krawężniki tro-tuarów, też skazane na zagładę. W gruncie rzeczy ulica Wielka, nawet w dobie swego rozkwitu, nie miała w sobie nic z wielkości. Stanowiła zaplecze centralnej arterii miasta, ulicy Marszałkowskiej. Mieściły się przy niej drugorzędne jadalnie i kawiarnie, pełne zakamarków, stołów bilardowych, bookmacherów i ściszonych rozmów na tematy wyścigowych afer» [Zł 164-165]” [Wdzm, 14].

„W *Złym* wyraźnie widać, ku czemu skłania się Tyrmand. Współczuje każdemu sklepikowi, każdemu kawałkowi ściany zagrożonemu przez buldożery. Ale i Białoszewski – milcząc o placu – tamto biedniutkie, lecz autentyczne życie w ruinach wspomina po latach z nieukrywaną nostalgią: «Na rogu Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej – czytamy w *Szumach*... – pod ilomaś piętrami gruzów podawało się elegancko mokkę, orkiestra grała *La Cumparsită* i *Jalousie*. Na rogu Alej i Starynkiewicza w uboższym lokalu, z napisem »kawiar«, bo »nia« się nie zmieściło, mandolinistka i gitarzystka siadały na koszu pod barokowym aniołkiem na tle szarego papieru i co wieczór śpiewały

Warszawo, ty moja Warszawo,

tyś miastem mych marzeń i snów» [Sz 93]

W gruzach była jeszcze nadzieja, na placu już nie” [Wdzm, 18].

Już chciałem napisać tamto poprzednie zdanie (korzystając z rutynowego słowa) o „uwieczniających” dawne skrzyżowania ulic tablicach, leżących w pobliżu Alej Jerozolimskich na placu Defilad, jednakże nie pozwala na to jakże słuszna uwaga, komentarz prowadzącej nas tam autorki, głęboka intuicja na temat tego „miejsca – nie-

-miejsca” i ducha tego dziwnego miasta – bo, jak słusznie pisze Zielińska, „tablice mówiące o nieistniejących skrzyżowaniach nieustannie przypominają i nam, i temu placowi, że nic na świecie, a zwłaszcza w Warszawie, nie jest wieczne” [Wdzm, 11].

A tymczasem, zaraz właśnie, czeka tu na nas kolejne zdziwienie: Aleje Jerozolimskie przetrwały wojnę, zachowując nie tylko swoją dawną, częściową zabudowę, tę, którą mijamy w drodze na dworzec Centralny, wyjeżdżając czy przyjeżdżając do Warszawy, ten, jak wszystko w tym mieście: zaledwie ułamek i fragment „tamtej”, prawdziwej Warszawy, ale i, co dziwniejsze, zachowując mimo wszelkich niesprzyjających, historycznych okoliczności (a iluż ulicom zmieniano ją tu wielokrotnie) – swoją nazwę! Zatrzymajmy się, zatem z autorką przez chwilę na nich.

Korzystając z tej panującej tu zasady czasu nielinearnego, zasady równoczesności, którą rządzi się to miasto i jego pamięć (o czym pisała Baranowska), Marta Zielińska zestawia ze sobą opisy Alej, fragmenty z *Kronik* Prusa, książek Singera, Białoszewskiego, Konwickiego. Zaczyna od tych najbliższych Alejom Jerozolimskim skrzyżowań nieistniejących ulic Wielkiej i Śliskiej i tego nieszczęsnego placu, przywołując Prusa, który przed stu laty opisywał i narzekał na zwyczaj umieszczania przez kupców na warszawskich chodnikach liter reklamujących sklepy: „Owe pomysłowe »szyldy« rzeczywiście dobitnie się reklamowały, gdyż ślizgali się na nich przechodnie, a co więksi pechowcy na całe życie je zapamiętywali. Teraz dziwnym trafem ulica Śliska i dwie inne doczekały się takiej śliskiej pamiątki-pułapki, tylko na kogo, czy na co, zastawionej?” [Wdzm, 10] – pisze autorka, umieszczając zobaczoną tam przez Białoszewskiego podczas wojny tęczę, opisaną w *Szumach, złepach, ciągach* by prowadząc nas stopniowo, odsłonić głębię i złożoność warszawskiego znaczenia tej nazwy: „«W czasie okupacji idę Alejami Jerozolimskimi – południe po deszczu, ruch – tęcza. Widać i widać. Łuk w dół. Dochodzę do Marszałkowskiej. Gruba na mniej więcej metr, przezroczysta i kolorowa. Ludzie przechodzą przez nią zaaferowani, z teczkami, torbami, nikt się na to nie gapi» [Sz 45]” [Wdzm, 173].

Przebiegnijmy przez kilka zaledwie fragmentów poprzedzających zasadniczy, poświęcony im rozdział:

„Dzieje tego kawałka Śródmieścia – zanim stał się największym placem w Europie – nie budziły specjalnego zainteresowania. Były po prostu bardzo typowe. Nawet tak bardzo, że tu akurat, mniej więcej w samym środku, na linii ulicy Złotej łączyły się ze sobą dwa światy dawnej Warszawy: polski od południa, żydowski od północy. W czasie wojny prawie cała północna połowa dzisiejszego placu znalazła się (nie na długo co prawda) w granicach getta, więc i wtedy miejsce to symbolicznie odzwierciedlało obraz całego miasta. Później podzieliło – rzecz jasna – jego historię powstaniową, a na koniec również i tutaj, w ruinach Marszałkowskiej 131 znaleźli schronienie warszawscy »robinsonowie«” [Wdzm, 11].

„W *Kronikach* Prusa możemy wyczytać, iż «pewien historyk izraelski» wywiódł nazwę Warszawy od hebrajskiego «berszebe» – «wśród piasków». Owa ludowa etymologia więcej mówi o przywiązaniu Żydów do tego miasta, o chęci porównania go z pustynią Izraela, aniżeli o rzeczywistym pochodzeniu nazwy. Niemniej jakaś racja w tym jest, czyli ten nasz mazowiecki piach.

Piasek ma lotną naturę, właściwie to drugi obok wody żywioł symbolizujący ruch. Dziwny żywioł i tajemniczy. Pozornie o stałej konsystencji, a ciągle się przemieszcza, przesuwa, przesypuje, zaciera ślady. To przykrywa sobą miasta, to odsłania zbiele kamienie lub kości. W czasie burzy zaciemnia horyzont, a w chwilach spokoju tworzy fatamorgany.

Warszawa przejęła jakby od swego podłoża te właściwości. Jej miejska materia nigdy nie była stabilna. Domy nie najlepiej trzymały się warszawskiego gruntu. I z byle powodu potrafiły zniknąć” [Wdzm, 30].

„Białoszewski, będąc w Nowym Jorku, zastanawiał się, czy lepiej budować miasto na skałach czy na piasku z kurząwką. Wyszło mu, że jednakowo źle” [Wdzm, 30].

„Ułomna i pozmieniana materia miasta niekiedy jednak przeszkadza, przesłaniając przeszłość narosłymi nowymi warstwami. Białoszewski opisał w wierszu taki właśnie swój powrót na dzisiejszą Chłodną i niezupełnie udaną próbę dotarcia do przysypanych pokładów minionego czasu:

tu
mnie zastało powstanie.
Pusto, z tamtego nic. Zielsko.
No, na siłę coś do nosa

Jak się dowąchać Troi?

(*Po latach obok nocuję...*, R 152)” [Wdzm, 47].

„«Urodziłem się w tym mieście, a nie mogę nigdzie trafić» – skarży się gość zagraniczny we *Wniebowstąpieniu* Konwickiego [W 58]. Ale i stałym mieszkańcom ciągle się to przecież przydarza. Znajoma kamienica może się nagle przekształcić w pusty plac, a własna ulica może stać się w ciągu nocy rozkopanym wąwozem albo nawet jeziorem. «Jakbym był w obcym mieście» – stwierdza Białoszewski na widok Zamku Królewskiego, do którego nieobecności zdążył się przez trzydzieści lat przyzwyczaić” [Wdzm, 32].

„Białoszewski nie zachwyca się specjalnie odbudowanym Starym Miastem. Oczywiście cieszy się, iż ono jest, lecz rzeczywiście inspirujące są dlań rudery Powązek czy ocalałe «chrapiące podwórko» na Próżnej. Podobne odczucia znajdziemy u Tyrmanda, który podziwia odzyskaną panoramę Starówki, ale najwięcej uwagi poświęca obdrapanym kamienicom Żelaznej, Krochmalnej i placu Grzybowskiego” [Wdzm, 46].

„Białoszewskiego zawsze później denerwowało likwidowanie owych resztek, wszelkich resztek, przemienianie ich w puste placówki obsadzone drzewkami: « – powyry-

wałbym, tak mnie złościła, taka dobra była tamta oficyna, i nawet resztki muru, jak już niby rozebrali, ale jeszcze, dopiero jak nic – to strasznie. Raz mi tak Lu. mówił na Wolskiej: »zobaczysz, jak te resztki parteru rozbiorą, zobaczysz«, nie wierzyłem. Rozebrali. I ani podejść» [Z 191-2]” [Wdzm, 46].

„Singer również dobrze tę trudność rozumie i chyba z tego powodu nigdy nie odwiedził powojennej Warszawy. Aby przypadkiem nie zabić w sobie obrazu tamtych nieistniejących już ulic i ludzi. Za to wszystkie jego warszawskie powieści są nieustannym wywoływaniem duchów tutejszych mieszkańców, kamienic, podwórek, sklepików. Tak samo postępuje stworzony przezeń Aron, bohater powieści *Szosa*, który powróciwszy do Warszawy po pierwszej wojnie, za nic nie chce pójść na swoją ulicę Krochmalną, bo przypuszcza, iż przez ten czas bardzo się zmieniła. Poglądy Arona pisarz w pełni podzielał: «To już nie była moja ulica – czytamy w powieści. – Nikt nie pamiętałby mnie tam, ani mojej rodziny. Kiedy o tym myślałem, miałem dziwne poczucie, że moje tutejsze dawne przeżycia nie należą już do tego świata. Niby miałem dwadzieścia parę lat, a byłem jakby starcem. Krochmalna zdawała mi się głęboką warstwą archeologicznego wykopiska, której nigdy nie odsłonię. A jednocześnie wskrzeszałem pamięcią każdy dom, podwórze, cheder, bóżnicę, sklep; każdą dziewczynę, każdego włóczęgę, każdą gospodynię – ich głosy, gesty, sposoby mówienia, nawet ich dziwactwa» [Sh 20]” [Wdzm, 47].

„Granica między przeszłością i teraźniejszością jest w naszym mieście niejasna. Czasem daleka historia wydaje się o krok, a czasem ta bliższa nawet zapada się głęboko jak Troja – i jak Troja domaga się odgrzebania i uniesmiertelnienia. Stąd owo «dowąchiwanie się» Troi u Białoszewskiego, stąd również całe prawie powieściopisarstwo Singera bierze swój początek. W jednym z wywiadów zwierza się on: «Przy *Rodzinie Muszkatów* [pierwsza powojenna powieść Singera – M. Z.] powiedziałem sobie: »Warszawa dopiero co została zburzona. Nikt już nigdy nie ujrzy tamtej Warszawy, którą znałem. Powinienem więc o niej napisać, niechaj nie zniknie na zawsze«. To, co wielki Homer (proszę wybaczyć porównanie) odczuwał wobec Troi, ja czułem wobec Warszawy – w mój własny skromny sposób» [Con 73]” [Wdzm, 59].

I już jesteśmy we właściwym rozdziale. Pisze Marta Zielińska:

„Nie wiem, czy w Warszawie myśli się o sprawach ostatecznych częściej niż gdzie indziej. O sensie życia i cierpienia, o śmierci i o Bogu, o wieczności i o przemianach. Ale pewne wydaje się, że jeśli już się myśli, to w szczególny sposób. Czyli w związku z miastem. Poprzez miasto. Z powodu miasta. Ono wyzwala metafizyczne tęsknoty i metafizyczne lęki, ono też zadaje metafizyczne pytania.

Właściwie trudno powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Czy Warszawa jest miejscem przeklętym, które wciąga ludzi w wir przeszłych i przyszłych katastrof dziejowych,

czy tylko miejscem nieszczęsnym, któremu ludzie muszą pomóc w przetrwaniu, muszą własną duchową aktywnością ratować i siebie, i miasto przed grozą nicości. Czy tak jest, czy inaczej, tutejsze metafizyczne nastroje i zasadnicze pytania nie rodzą się w ciszy, lecz potrafią dopaść człowieka nagle na ulicy. I to niekoniecznie w sytuacjach ekstremalnych, jak wojny, powstania lub rewolucje, ale w czasach całkiem, wydawałoby się, zwyczajnych. Tu bowiem zawsze jakaś niesamowita aura idzie z nieba i unosi się nad dachami. Tak jakby w Warszawie właśnie ktoś ustalił granicę między bytem i niebytem, między tym i tamtym światem, między ziemią i nieskończonością. Nawet wiem, w którym miejscu ta granica przebiega. Albo raczej, skąd ją najlepiej widać. Którędy wsacza się w nasze miasto dziwny niepokój i tajemniczość. Nie na żadnym cmentarzu. Ani nie od Wisły. To znajduje się w samym środku, choć kiedyś środkiem nie było. W Alejach Jerozolimskich.

Już sama nazwa zastanawia. Takiej nie ma może nigdzie indziej na świecie. Bo chyba trudno znaleźć podobną nazwę, która by w sobie tyle treści zawierała i historycznej, i symbolicznej, która by tyle o mieście potrafiła powiedzieć. W miarę wzrostu znaczenia tej ulicy ewoluowało jej imię, nie zmieniając jednak charakteru: droga Jerozolimska, ulica, aleja, wreszcie Aleje Jerozolimskie. Gdyby Warszawa miała podświadomość, a kto wie, czy czegoś takiego nie posiada, owa nazwa z pewnością byłaby jedną z ważniejszych jej projekcji. Jeśli nie najważniejszą. Projekcją splątania dwóch narodów w nie dający się rozwikłać węzeł. Albowiem pochodzenie tej nazwy wcale nie jest – wbrew pozorom – oczywiste i wiele daje do myślenia: «Stąd nazwana – tłumaczy Sobieszczański – iż prowadziła niegdyś do osady starozakonnych, Nową Jerozolimą lub Jerusalem przezwanej, a jeszcze w r. 1785 za okopami Warszawy istniejącej, którą książę August Sułkowski, marszałek Rady Nieustającej, w roku 1774 założył, wtedy gdy magistrat Starej Warszawy wszelkimi sposobami starał się Izraelitów pozbyć i osiedlenia im w mieście zabraniał».

Niby więc miasto chciało się Izraelitów pozbyć, lecz zaraz poprzez drogę Jerozolimską wskazywało ich miejsce pobytu i symbolicznie ze sobą łączyło. Owszem, były w Warszawie i inne ulice prowadzące w kierunku okolicznych miejscowości, na przykład Mokotowska, Nowowiejska, Czerniakowska, Zakroczymska. Jednak trwałość tamtej nazwy – wobec kilkunastoletniej zaledwie historii osady Jerusalem, nie istniejącej już w XIX wieku, wydaje się zastanawiająca. Jak gdyby chodziło o coś więcej niż o geograficzną precyzję. Bo i chodziło. Na początku i na końcu dziejów tej ulicy tak dziwnie nazwanej jest obecność w nieobecności. Żydów w Warszawie. Wtedy nie było ich, ale byli gdzieś niedaleko. Teraz ich znów nie ma, lecz są również blisko, jeszcze bliżej, bo w tej wszędzie widocznej dotkliwej pustce, co po nich została. A pomiędzy tym początkiem i końcem owa nazwa – niby groźne memento – mówiła o niepewności tutejszego żydowskie-

go losu. A także o przeznaczeniu, o konieczności wypełnienia się tego przeznaczenia do ostatka, do zburzenia miasta i zagłady narodu, który w XIX wieku uwierzył, że Warszawa jest nową Jerozolimą. I stała się nią przerażająco dokładnie. Dla wszystkich warszawiaków.

O tym opowiadają właśnie Aleje Jerozolimskie. O tajemnych nawrotach historii warszawskich Żydów, o ich szczególnej z Polakami wspólnocie i obcości *zarazem*. O przyciąganiu i odpychaniu. Czyli o dziwności naszego miasta, którego mieszkańcy – mimo istniejących między nimi podziałów, uprzedzeń i resentymentów – jednakowo czuli się warszawiakami, a Warszawa podobnie na nich oddziaływała, niezależnie od religii i narodowości. Gdyby było inaczej, Prus z Singerem i Tyrmand z Białoszewskim nie mogliby się znaleźć w tej samej książce. Tymczasem są razem i uzupełniając się nawzajem, opisują charakter Warszawy” [Wdzm, 169-171].

Opisywane przez Zielińską Aleje Jerozolimskie, w swym położeniu, otwieraniu się i wybieganiu w obu kierunkach mogą do pewnego tylko stopnia, jak zwraca na to uwagę autorka, przypominać pod tym względem wspomnianą już tu przez nią, i przez nas na początku, Mokotowską. Kryje się w nich coś znacznie więcej:

„Aleje Jerozolimskie niepokoją jednak nie tylko z powodu nazwy, tyle skojarzeń za sobą ciągnącej. To ulica w ogóle do innych niepodobna, bo zaczyna się w pustce i w pustce kończy. Z obu stron zmierza w niebo, w przestrzeń. Donikąd. Kiedyś spadała w dół, ku Wiśle, a wychodziła z podmiejskich pól. Więc niby dawało się to wytłumaczyć. Ale i teraz, po wielu przecież metamorfozach, dalej jest tak samo. Mimo że zbudowano wiadukt i most, mimo że na Woli i Ochocie wyrosły wysokie domy, z Alejami nic się nie zmieniło. Wystarczy stanąć między Kruczą i Marszałkowską, by się o tym przekonać. Wiszą w powietrzu. Spinają dwa końce nieba. I bez znaczenia jest tu ukształtowanie terenu. W innych miastach ulice jeszcze bardziej wznoszą się i opadają, lecz czegoś takiego, jak nasze Aleje, nigdzie nie spotkałam. Tak otwartego w obie strony. Na nieskończoność i na historię, która tu właśnie od wschodu i zachodu lubi nadciągać niby gradowa chmura.

Nieprzypadkowo więc chyba pierwsza warszawska linia kolejowa pojawiła się właśnie przy drodze Jerozolimskiej. Tam dość na chwilę przystanąć i ma się wrażenie, że się jedzie gdzieś daleko. Bardzo daleko. Tory i dworzec tylko owo wrażenie wzmocniły” [Wdzm, 169-171].

Takie samo wrażenie zanotował w swym poemacie przyjeżdżający do Warszawy w 1909 roku Aleksander Błok. Zamieszkał w Hotelu Wiedeńskim,¹⁴ z którego okien widać było perony i tory dworca Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej położonego przy Alejach Jerozolimskich na wysokości dzisiejszego przystanku metra Centrum:

Na stronie obok:
Warszawa 1945. Fot. Leonard Sempoliński,
ze zbiorów Instytutu Sztuki PAN.



Jest odwilż... Wkrótce doda bieli
 Mdławej żółciźnie skraj podniebny.
 [...]

 Lecz smutki spod niebieskich stropów
 Spływają, siwą mgłą się żalą
 I tylko szyny do Europy
 Byszczą w ciemnościach szczerą stałą.

(Odwet¹⁵)

„Aleje są więc ważne – pisze Marta Zielińska, zwracając uwagę na zmierzchy i zachody słońca, nieustanną grę rozgrywającą się na niebie. – Może nie byłyby aż tak, gdyby nie warszawskie niebo. Zmienne. Nieprzewidywalne. Chwilami nawet niesamowite, jakby zaraz miał nastać koniec świata. Jakby słońce zaczynało się cofać. Albo gasnąć. Chmury nad Warszawą przybierają różne kształty. Czasem suną ciemne i ciężkie od jakichś niewiadomych zdarzeń, czasem malują nad miastem wszystkie jego katastrofy – dymy, łuny, pożary – a czasem są białe, błyszczące i niczemu nie winne. Nie dość że Warszawa sama z siebie ciągle się przemienia, to dodatkowo jeszcze ulega wpływom nieba. Gdy nadciąga burza, domy wydają się nienaturalnie jasne i nietutejsze, w deszczu równie nienaturalnie ciemnieją. A kiedy ulice spowija błękitnawa jesienna mgiełka, można pomyśleć, iż znaleźliśmy się w przedśionku zaświatów – taki wszędzie panuje dziwny spokój, kolorystyczna cisza.

To warszawskie niezwykle niebo najlepiej widać właśnie w Alejach Jerozolimskich. I obroty gwiazd widać, i duszę miasta – niby znaną, a ciągle nieodgadnioną. Pisarze umieli zauważyć szczególne właściwości owej ulicy. Nie wiem, czy świadomie, czy nie. Pewnie nie. Ale zawsze pojawiała się ona, gdy chodziło o przestrzeń nad Warszawą. O otwarcie na wszechświat i jego tajemnice. Racjonalny Prus tam radził udać się czytelnikom, pragnącym obserwować ruchy gwiazdnych konstelacji: «W pogodny wieczór, około ósmej, stań pan w Alejach Jerozolimskich...» [Kr 16/209] – zalecał w kronice z 1899 roku» [Wdzm, 171-2].

„U Singera opis Alej, nie wymienionych nawet z nazwy, pojawia się tylko raz, kiedy bohater *Rodziny Muszkatów* – Asza Heszel – przyjeżdża do nieznanej mu Warszawy i wychodzi z dworca do miasta. Ale w owym jedynym opisie zawiera się właściwie wszystko, co w tej ulicy i dla tej ulicy najważniejsze – czyli przemierzanie zwykłości i niezwykłości, ruchu ulicznego i ruchu gwiazd, codzienności i wieczności: «Mimo października dzień był jeszcze ciepły – czytamy w powieści. – Niskie chmury płynęły po niebie, zdając się łączyć z kłębami pary lokomotyw. Na zachodzie stało nad horyzontem wielkie, czerwone słońce. Na wschodzie rysował się błądy sierp księżycy.

Młodzieniec przeszedł za barierę oddzielającą stację od ulicy. Po szerokiej i ruchliwej jezdni, brukowanej prostokątną kostką, przetaczały się powozy. Wydawało się, że konie zaraz wpadną wprost na grupki przechodniów. Czerwone tramwaje przejeżdżały z hałaśliwym dzwonieniem. Wilgotne powietrze pachniało węglem, dymem

i ziemią. W przymglonym świetle przelatywały ptaki, trzepocząc skrzydłami. W oddali widać było rzędy domów, których okna odbijały blask dnia, rozświetlony srebrnoszarymi refleksami lub promykami złota zachodzącego słońca. Niebieskawe pierzaste dymy unosiły się z kominów. Coś dawno zapomnianego, a niegdyś bliskiego, stało w powietrzu ponad nierównymi dachami, gołębnikami, oknami poddaszy, balkonami, drutami słupów telegraficznych. Jakby Asza Heszel widział to wszystko przedtem we śnie albo może w poprzednim życiu» [FM 29-30].

Moim zdaniem, jest to jeden z najpiękniejszych opisów Warszawy – pisze Zielińska – a właściwie jej nieuchwytnego ducha, zawieszonego gdzieś w mgławistej przestrzeni ponad krzywą linią dachów. Ta linia łączy miasto z nieskończonością, z wiecznością, z zaświatami. I wydaje się, że tam właśnie znajduje się miejsce, z którego wszystko widać, wszystko jest wiadome. W którym byliśmy przed urodzeniem i do którego powrócimy. Bo my nie mamy wieczności zakłętej w murach, tylko ten nieokreślony szlak w powietrzu, obrysowujący przeszłą i przyszłą Warszawę» [Wdzm, 172-3].

„Białoszewski niespecjalnie kocha wysokości i przestworza, więc nawet w Alejach próbuje omijać je wzrokiem. Ale magia miejsca zadziałała, tęcza opuściła mu się pod nogi. Najczęściej jednak przestrzeń tej ulicy, zwłaszcza od zachodniej strony – ta najbardziej pusta i otwarta – bardzo źle się Białoszewskiemu kojarzy: «O jedenastej rano jechałem tramwajem. [...] Tramwaj przecina Aleje Jerozolimskie, słońce żółte, półciepłe. Z przyzwyczajenia spoglądam na tę stronę Ochoty. W jednym rzucie. Żółta. Znana. I niedobra. Aż mnie przeraziła. To aż tyle z nią niedobrych skojarzeń? Tyle było widoków z głodem, z zimnem, strachem. – Ale ile!

Jedna ściana cierpienia. Już tramwaj przeciął skrzyżowanie» [Sz 219].

Właśnie. To nasze warszawskie niebo, to w Alejach, lecz i gdzie indziej, potrafi być nie tylko łagodne i tajemnicze, nie tylko mistyczny spokój stamtąd widać. Widać też grozę. Ścianę cierpienia. Ścianę śmierci. Zwłaszcza od zachodu, od strony Ochoty i Woli. Albowiem na zachodzie, zwłaszcza na północnym zachodzie, zawsze tutaj chmury wyglądają bardziej niepokojąco. Są nienaturalnie ciemne albo podświetlone. Może z powodu miasta tak się zdaje, które odwrócone od Wisły rozrasta się w tym kierunku. Więc i my częściej w tę stronę patrzymy i coś więcej zauważamy. A może jednak złowrogie fatum naznaczyło te dzielnice – Ochotę, Wolę i północno-zachodnią część Śródmieścia? Bo się przecież sprawdziło. W wojnę tam się działy najgorsze rzeczy.

Singer i Białoszewski – każdy inaczej – ale coś podobnego dostrzegali w tamtej części Warszawy. W *Spuściźnie* pisał Singer o Nowolipkach: «W oknach stały świece zapalone na Jom Kipur. Żydzi udawali się na modły. [...] Wielka czerwona tarcza słońca zachodziła na Woli wśród purpurowych chmur podobnych do polnych bruzd» [S 83].

Jom Kipur to ostatni z dziesięciu Dni Grozy. Kiedy decydują się gdzieś w górze sprawy ludzkiego życia i śmierci. Tak później decydowały się na Woli losy warszawiaków w pierwszych dniach powstania. «Od placu Żelaznej Bramy – czytamy u Białoszewskiego – od placu Bankowego, od Elektoralnej Chłodną po naszej stronie pod murem lecieli i lecieli ludzie, kobiety, dzieci, wszyscy schyleni, szarzy, posypani czymś. Pamiętam, że zachodziło słońce. Paliło się. Ludzie lecieli i lecieli. Potokiem. Ze zbombardowanych domów. Uciekali na Wolę» [P 8].

A na Woli, jak dziś wiemy, czekała na nich śmierć. Egzekucje.

Zastanawiająco zgodne w nastroju są te dwa opisy, choć jeden jest konstrukcją wyobraźni i pamięci zrobioną na użytek powieści, drugi rzeczywistym wspomnieniem. Więc niebo nad Wolą, oświetlone luną zachodzącego słońca, zawsze miało w sobie coś złowieszczonego. Tak widział je zza oceanu Singer, tak też zapamiętał Białoszewski, naoczny świadek spełniającej się katastrofy. I obaj wiedzieli to samo: że w przestrzeni nad warszawskimi dachami można zobaczyć śmierć, że niebo wygląda tutaj czasem, jakby nad miastem otwarły się zaświaty.

W *Rodzinie Muszkatów* – pierwszej powieści Singera napisanej w Ameryce – o tej śmiertelnej dziwności warszawskiego nieba mówi się wielokrotnie. Młodziutki Asza Heszeli przygląda mu się przez okno: «Było wpół do czwartej, ale zapadał już zimowy zmierzch. Na podwórzu, gdzie wychodziło okno, panowała głęboka cisza. Drobną śnieg prószył z prostokąta nieba, które Asza mógł dostrzec pomiędzy dachami. Na szczycie blaszanej choraągiewki przeciwległego dachu przysiadł kruk; wydawał się błękitnawy na bładoniebieskim tle i jakby zapatrzonej w niezmierzoną dal tamtego świata» [FM 110].

Inne, a przecież podobne uczucia towarzyszą ostatnim chwilom starego Muszkata, umierającego w swym domu przy placu Grzybowskim: «Przez długi czas leżał nie śpiąc i obserwował pogłębiający się półmrok. Chmury rozwiały się, tylko małe obłoczki zostały na niebie. Zaczęły pojawiać się gwiazdy. Spoza szpiczastych wież kościoła po drugiej stronie ulicy, ciągle jeszcze błyszczących blaskiem zachodzącego słońca, wypłynął żółty księżyc. [...] Cóż ziemskie sprawy znaczyły dla niego? Miał tylko jedno pragnienie: ujrzeć wspaniałości wyższych światów, które, promieniując tajemnym światłem, unosiły się nad dachami Grzybowa» [FM 207].

Również Abram – lekkomyślny zięć Muszkata – śmierć widzi, a raczej ociera się o nią wprost na warszawskiej ulicy, gdzie rankiem, po nocy spędzonej na balu, zaatakował go atak serca: «Osunął się na ziemię. Z kominów wznosiły się wiązki dymu. Otwierano okna. Słyszał przenikliwe głosy kobiet. Ktoś podał mu wodę do ust. »Czy to koniec? – pomyślał. – Nie taki straszny«. Uśmiechnął się pod wąsem. Wysoko w górze, spoza szczytów dachów, rozżarzało się wschodzące słońce» [FM 524].

Dla Singera przestrzeń nad Warszawą, otwierająca się na tamten świat, nie jest przerażająca. Przeciwnie. Owa

mistyczna linia oddzielająca dachy od nieba hipnotyzuje go, przyciąga. A właściwie może nie linia, raczej pas powietrza ponad domami, gdzie mieszą się wpływy odległych sił kosmosu i tajemnych fluidów miasta. Pisarz wie, że śmierć ciągle tutaj krąży w górze, ale i do niej tęskni, do umierania w Warszawie tęskni, bo z nowojorskiej perspektywy to właśnie miejsce najlepiej się do umierania nadaje. Choćby dlatego, że warszawskie zaświaty są tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Stąd nawet po śmierci nigdzie daleko się nie odchodzi. Tu dusze umarłych unoszą się nad dachami.

Dziwne, ale tę osobliwość Warszawy – niby już innej, bo powojennej – przenikliwie dostrzegł Konwicki we *Wniebowstąpieniu*. Jasno tam opisał, jak tutejsze duchy kurczowo trzymają się Warszawy, jak nie chcą pójść w nieznane. Wyraźnie mówi o tym zakończenie powieści, gdzie umarli bohaterowie, oglądając mglistym rankiem ulice z galerii na trzydziestym piętrze Pałacu Kultury, planują powrót do miasta. Singer zza oceanu marzy na swój sposób o umieraniu w Warszawie, Konwicki natomiast – obcy przybysz ze wschodu, uczulony na zjawiska nadprzyrodzone, widzi to, o czym Singer i warszawiacy starają się zapomnieć, widzi mianowicie, że Warszawa w ogóle jest miastem śmierci i miastem umarłych. Dlatego tak trudno duszom stąd odejść, dlatego wolą one tkwić zawieszone pomiędzy niebem a ziemią, choćby na Pałacu Kultury. Wolą zostać wśród swoich, aniżeli wyruszyć w dalszą wędrówkę w stronę nicości» [Wdzm, 173-6].

„Nad nimi wisiała konstelacja krwawych światła z wieży pałacu. Jeszcze wyżej były już tylko gwiazdy, otchłań zimnych ognia, blask nieznanego, wiecznego obozowiska” (T. Konwicki, *Wniebowstąpienie*, Warszawa 1967, s. 54).

W filmie Tadeusza Konwickiego *Jak daleko stąd, jak blisko* (1972) na samym początku pojawia się ten dziwny i tajemniczy, jak na współczesny film, wpisany we współczesność tego miasta obraz (który nie daje mi nadal, do dziś, spokoju, chociaż starałem się poświęcić mu więcej uwagi w szerszym odniesieniu, w tekstach o *Przestrzeniach pamięci* i o Pałacu Kultury¹⁶). Obraz przedstawiający Żyda lecącego nad Warszawą. Żyd leci nad miastem, krąży nad rondem Alei Jerozolimskich (skrzyżowanie z Marszałkowską, skąd widać także Pałac Kultury), przygląda się miastu z góry, ma trudności z rozpoznaniem, obraniem kierunku. Dowiadujemy się z głosu biegnącego spoza ekranu, że to obraz zapamiętany z dzieciństwa przez bohatera (narratora): Żyd „unoszony przez diabłów w straszną nicość”. Jako wyrzut sumienia za tylokrotne zadawanie śmierci ludziom przez ludzi. Obraz ten powraca również na końcu filmu: „Nie wiem, dlaczego zapamiętałem po raz pierwszy w życiu, takie właśnie zapamiętanie człowieka unoszonego do piekła. Ale teraz myślę, że mógł on przecież wstępować powoli w niebo”. W *Jak daleko stąd, jak blisko* Konwicki wpisuje w sfilmowany obraz miasta obraz Sądu Ostatecznego.

W filmie widzimy też, jak na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej przy zachowanym kawałku muru z tab-

licą upamiętniającą uliczną egzekucję, pomiędzy Hotelem Forum (Czy już stał tam wtedy? Budowę jego rozpoczęto w 1972) a przystankiem autobusowym płoną znicze. To miejsce filmowane jest z góry, z wysoka, z dość sporej odległości, kamera zresztą w tym zaduszkowym spojrzeniu i obrzędzie objężdża całe miasto, filmując jego ulice i dachy z góry, mija światelka płonące pod tablicami wiszącymi na ścianach przy Nowym Świecie, Krakowskim Przedmieściu, i przy figurze na skwerze przed kościołem św. Anny. Bohater (narrator) mówi do przyjaciela, który popełnił samobójstwo: „Widzisz Maks to jest całe nasze miasto... Popatrz, te migotliwe drobiny światła, to są znicze na miejscach straceń. Ostatni ślad po ludziach, których tak ciężko obcym zrozumieć”.

U Konwickiego we *Wniebowstąpieniu* rozciągająca się przestrzeń wokół tej osi kosmicznej Pałacu, wokół tego niejasnego „środka świata” i znajdującego się tam obok, postarzałego, już zniszczonego upływem czasu obelisku z wypisanymi na nim nazwami miast Europy, nazywanego przez warszawiaków wtedy, z właściwym sobie humorem, „słupem śmiechu” (w czasach zamkniętych szczególnie żelaznych granic), „na którym czerniły się mosiężne nazwy odległych stolic. Wielu liter brakowało. Tylko liczby kilometrów dzielących nas od tych miast zostały nie naruszone. Zbieracze uszanowali spiżowe cyfry”. Ta pusta, nieludzka przestrzeń jest miejscem rozrachunku i Sądu Ostatecznego: „Plac przypominał dolinę Jozafata. Dziwne światło, bardzo gęste i bursztynowego koloru, oblewało cokolwiek pałacu”.

W *Małej Apokalipsie* spiący się już Pałac lżony jest na każdej niemal stronie: ten „pomnik pychy”, „statua niewolności”, „kamienny tort przestrogi”, „budzący niegdyś strach, nienawiść i magiczną zgrozę”, ów kosmiczny „wielki barak, postawiony na sztorc, zżarty przez grzyb i pleśń stary szalet zapomniany na środkowo-europejskim rozdrożu”, „straszny kurhan, uroczysko”,¹⁷ staje się ołtarzem ofiarnym, miejscem samospalenia, do którego zdąża bohater: „Przedemną szli tą samą ścieżką na stos buddyjscy mnisi, pewien Czech, jacyś Litwini. Przedemną szli tą rozżarzoną steczką ludzie różnych ras, religii”. Staje się Golgotą, ale i owym „miejscem wysokim”, miejscem pokuszenia: „Mam ochotę, straszną chętkę, żeby skusić los. Aż mi jakieś ciarki idą po plecach. I potem zaraz się spotkamy, dobrze? Będę czekał na pana jakieś pięćdziesiąt kilometrów dokładnie ponad szpicem Pałacu Kultury, tam, gdzie kończy się definitywnie nasza atmosfera, nasza miła ziemskość. Ale pan tego nie zrobi, bo dwa tysiące lat temu pewien Aramejczyk powiedział do swoich okrutnych współczesnych: «Miast zabijać na ofiarę jagnię, sąsiada albo swojego brata, złożyć ofiarę z samego siebie». We mnie jest siedem atomów Antychrysta, ale w panu co najmniej siedemdziesiąt siedem. – Wyjął z mojej ręki cegłę, zważył ją na dłoni. Zabiorę sobie na pamiątkę [...]. Może pan głodny, mam dwie kostki cukru. – Co ty bredzisz? – Powinienem otrzeć chustą pana twarz. Ale nie mam chusty. – To była ostatnia sta-

cja naszej męki? Tak, przed nami ołtarz ofiarny. – Pokazał ręką bielejący w zadymce wysoki do nieba ikonostas Pałacu”.¹⁸

W *Rzecz podziemnej* obraz Pałacu-Golgoty pojawia się na krótko przed samobójstwem, jakie popełni Siódmy: „Wielki plac otworzył się przed nim. [...] W środku stał ten sławny pałac. Stał prawie do połowy zanurzony w chmurach, a właściwie w jednej wielkiej chmurze [...]. Siódmy poczuł nagle bezsensowną ulgę. Ta ogromna ilość powietrza, wolnej przestrzeni, szarego nieba, które przed wieczorem pęknie nad horyzontem, pokazując czerwoną lunę i czarne strzępiaste obłoki zatrzymane w dzikim pędzie, jakie stały wtedy nad horyzontem, gdy krzyżowano Chrystusa”.¹⁹

Ale nikt inny nie uchwycił i nie opisał z taką mocą tej, wpisanej i obecnej w Alejach Jerozolimskich biegnących w środku tego miasta, już nie ukrytej, bo dźwięczącej w samej ich nazwie – Jerozolima – głębokiej biblijnej struktury („miasta siedmiu bram”), panującej w Warszawie od jej szczytu do najdrobniejszego kamienia (*O miasto, miasto – Jerozaleń żalu*²⁰), także i owego „splątania dwóch narodów w nie dający się rozwikłać węzeł”, i owej gry światła na niebie, nad Alejami i zachodzącego tam za nimi, w oddali słońca, w kierunku Ochoty i Woli, widzianego – tak jak je zobaczył od strony Starego Miasta, z Miodowej – i jak zapisał to Miron Białoszewski w *Pamiętniku z powstania warszawskiego*:

„Czekało się na jeszcze jedną symboliczną, złą a przesądzoną nowinę. Na koniec Zygmunta Wazy na kolumnie. Bo stał jeszcze wciąż. Długo stał. Aż doszło do nas z gazetki, że zwalili go.

Nie uchronili nas nasi królowie. Ani myśmy nie uchronili naszych królów. Tego, co po nich. Wszystkiego. Wszystkiego.

Moja Piwno! Od Augustianów! Od nieszpórów! Psalmów. I Siedmiu Boleści. Chodziłem kiedyś do Augustianów na nieszpory. Był tłok. Kadzili. Były palmy. Śpiewali. Te nieszpory. Te żydowskie sprawy w kościele z gotyku. W XX wieku. I kiedy dochodziło do:

Ty jesteś kapłan od końca wieku
wedle obrządku Melchizedeka...

wzruszałem się najwięcej. Od tych słów usłyszałem, zapamiętałem nieszpory. Dlatego to piszę. Bo to się zabrało o siebie. Wszystko. I moje strony Leszno, Chłódna. I Muranów. Bo tam najwięcej tych moich kościołów. Potem Żydzi i te psalmy. I ta kobieta pod filarami.

Jerozolima dom nasz, dom Boży,
chwała jego co dzień się mnoży...

Potem było, że coś «pełna w spichrze», że zaszczycą «...trwała stolica».

Jerozolima na Starym Mieście czy Muranowie. Potem w getcie.

Był jeszcze jeden psalm:
Jeżeli domu Pan nie zbuduje,
daremno nad nim robotnik pracuje.
Jeżeli miasta Pan nie strzeże z góry



Fot. Zbigniew Benedyktowicz

Próżno straż czujna opasuje mury.
I to dalej... co pamiętam, tyle:
...(coś) odpowiada,
gdy do swych w bramie nieprzyjaciół gada.

Potem dopiero zrozumiałem, że to brama obronna, taka z Podwala albo z tego klasycznego rzymskiego dramatu Szekspira. Tam się wypychają. Jedni drugich przez taką bramę. Ja wtedy myślałem – na Nowolipkach, na Lesznie i na tej Piwnej, w tłoku, pod palmami, że to taka brama jak na Lesznie 99, na Poznańskiej 37, w ogóle jakich pełno było. Brama frontu. Wjazdowa. Z napisem «Handlarzom, śpiewakom, muzykantom i żebrakom wstęp wzbroniony». Z wnękami po bokach, z Mikołajami z żelaza. W ogóle żelazna. W kratę, w kwiaty. A dalej w środku, przed wejściem w pierwsze podwórze-studnię, sfinksówna na nenufarach, olejna, nad klatką schodową. Albo kafele. W girlandy. Pompeje.

Więc ta Matka Boska Piwna. Kto by myślał, jak wtedy się tak wsłuchiwałem w te sienie, bramy (zbuduje – pilnuje, dom Boży – mnoży), że teraz jak wylecę z kubłem szukać wody na Podwale, to zobaczę ten «Syjon», już ten drugi w gruzach, siwy, czerwony, «dom nasz, dom Boży» – po Muranowie, po starcach, co w sieni «siedzą i lud sądzić będą», że zobaczę tych Augustianów. Tyły. Od Podwala. Zburzone. Już nie ma Siedmiu Boleści. Palm. Tłoku. Śpiewania żydowskich spraw. Był zachód słońca. Ciągłe upał. I te cegły, rozwaliska, siwe, popielate, kamień na kamieniu. Z ogniami, z gruzem, z brzękiem kubła, pustego, mojego i innych, co się mijają. Kojarzy mi się zachód słońca. Wdrapywanie się na Podwale. Po drugiej stronie. Coraz wyżej. Na zwaly czegoś. Już ogólnego. To była niby Rycerska. Bo to była ścieżka, czerwona, na drugim piętrze, ze zbitych cegieł [Pżpw, 122-23²¹].

3. Aleja Róż i odkrywanie miasta

Miasto nieujarzmione... Warszawa jedna twojej mocy się uraga... miasto nierzeczywiste... miasto-widmo, miasto nie istniejące i tak bardzo rzeczywiste – Jeruzalem żalu... –

„Mur twój obronny u twoich poetów
[...]
Przedmioty dla nich łamały się w tęczę
[...]
Ich wiersze były modlitwą o męstwo:
«Z życia, jak z miasta, kiedy nas wysiedlą
Domie nasz złoty, w pościel z malachitu
Na jedną tylko noc nas wieczną przyjm...»”²²

Ową zasadę *r ó w n o c z e s n o ś c i*, o której pisała Małgorzata Baranowska, odkrywając ją w gruzach, ceglach, rozwalonych, rozbieranych i odbudowywanych domów w Warszawie, według której sama pisała o Warszawie w swoim *Pamiętniku mistycznym* i na innych miejscach, i według której opisuje swoją *Warszawę – dziwne miasto* Marta Zielińska, składając ją jako palimpsest z zestawianych ze sobą, nawarstwiających się, nakładających się

i zachodzących na siebie tekstów, z nieprzystawalnych dla siebie czasów, które ukazują metafizyczny charakter tego miasta jako jedyną rzecz i rzeczywistość w nim trwałą, i tę która w niej stale tkwi i trwa: „obecność w nieobecności” (być może nie ma innego sposobu pisania o tym „miejscu – nie-miejscu” jakim jest Warszawa), ową więc zasadę *r ó w n o c z e s n o ś c i*, która może przyprawić o zawrót głowy, odnajdujemy również w pisaniu Jacka Leociaka o Warszawie. Najpierw w jego wspólnie z Barbarą Engelking opracowanych i pisanych przewodnikach przywracających pamięć i wprowadzających obraz nieistniejącego już miasta do naszego współczesnego czasu, w książkach: *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*,²³ potem we wspomnianych już tekstach o Czesławie Miłoszu w okupacyjnej Warszawie i o Juliuszu Słowackim, jego przyjeździe do Warszawy i jego pobycie w Warszawie na Elektoralnej.

Tropiąc losy i adresy Miłosza w wojennej Warszawie, Leociak zwraca uwagę na przecinające się w jednym miejscu trajektorie indywidualnych istnień, „żywotów równoległych”, światów równoległych, historii równoległych, które nigdy się nie spotkały i nie spotkają. Oto poeta pracujący w Bibliotece Uniwersytetu, zatrudniony tam od 1941 do 1944 roku jako woźny, przenoszący książki z mieszczącego się w zbombardowanym skrzydle Pałacu Staszica Instytutu Romanistyki do gmachu głównego (wspominający po latach „Ile ja wtedy przeczytałem, chodząc między półkami, wyciągając jakiś tom”).²⁴ A czytał Miłosz wtedy m.in. *Ziemie Jaluwa* T.S. Eliota – jak wyzna w *Rodzinnej Europie*: „kiedy nad miastem stała luna, palącego się getta, była z lekka niesamowitą lekturą”²⁵). I człowiek „zza muru”, profesor Majer Bałaban: „jeden z najwybitniejszych badaczy dziejów Żydów w Polsce, autor prac o historii Żydów Krakowa, Lwowa, Lublina, trzypięciowej syntezy *Historia i literatura żydowska, ze szczególnym uwzględnieniem historii Żydów w Polsce*, od 1936 roku profesor Uniwersytetu Warszawskiego. W getcie był kierownikiem Wydziału Spraw Religijnych Judenratu. Na polecenie Niemców porządkował zbiory Biblioteki Judaistycznej na Tłomackiem, a także przygotowywał książkę o Żydach polskich. Jako jeden z nielicznych miał przepustkę, która pozwalała mu odwiedzać Bibliotekę Uniwersytecką, gdzie zbierał materiały do swej pracy. W BUW-ie bywał niemal każdego dnia – twierdzi adwokat Stanisław Adler, wysoki funkcjonariusz policji żydowskiej. Z kolei Wanda Sokołowska, bibliotekarka w okupacyjnym BUW-ie, pisze: «Nie sposób pominąć w dziejach Biblioteki tych czytelników, którzy odcięci od świata w murach getta nie zaprzestali pracy naukowej pomimo udręki życia, na jakie byli skazani, oraz trudności, z jakimi ta praca była związana. Do nich należeli: historyk sztuki Szymon Zajczyk, żona prof. M. Schorra oraz prof. Majer Bałaban. Wszyscy oni posiadali pozwolenie od władz na korzystanie ze ‘SB’ [Staatsbibliothek]. Najdłużej i najczęściej odwiedzał ją prof. Bałaban, pracujący nad kontynuacją *Bibliografii historii*

Żydów w Polsce. W drodze do biblioteki i powrotnej towarzyszył mu często konwojent niemiecki». Bałaban zmarł w końcu grudnia 1942 w swoim mieszkaniu w getcie, prawdopodobnie na atak serca.

Miłosz i Bałaban w Bibliotece Uniwersyteckiej podczas okupacji – jak pisze dalej Leociak – to dla mnie przykład, by tak rzec żywotów równoległych. Jest wielce prawdopodobne, że mogli się w gmachu BUW-u spotkać, a może należałoby raczej powiedzieć: mogli się widzieć, nic nie wiedząc nawzajem o swoim istnieniu”.²⁶

Podobnie opisując ulicę Elektoralną – tę, którą w relacji Białoszewskiego z powstania „lecieli ludzie w kierunku Chłodnej na Wolę”, zaczynając z wielkim pietyzmem od opisanie historii bruku i kostki brukowej, pokrytej z czasem wypierającym ją asfaltem, korzystając ze specjalnego studium poświęconemu temu zagadnieniu (K. Dumala, „Podłoga” warszawskich ulic, w zbiorze pod red. B. Wierzbickiej – *Wnętrze warszawskiej ulicy*²⁷) – a także, jesteśmy przecież w Warszawie – „Bruk w mieście jest ważny. Po nim się chodzi i jeździ, przemierzając codziennie ulice. Na niego wyrzucane są śmiecie i nieczystości, na nim zalega błoto, śnieg, kałuże. Z niego podnosi się kurz. Po nim tętnią kopyta koni zaprzężonych do dorożek, powozów, omnibusów, dosiadanym przez szarżujących Kozaków. Na nim dudnią podkute żołnierskie buty. Bruk ulicy nie jest niemy, ponieważ głuche kamienie potrafią jęknąć”. Leociak pisze dalej: „Podążam tropami rozsianymi w tekstach i na fotografiach, szukam śladów w opracowaniach kartograficznych (a nawet opracowania takie zamawiam u specjalistów), szukam śladów w dostępnej mi tu i teraz topografii ulicy, aby wykreślić własną mapę [...] Na tej mapie współistnieją ze sobą różne warstwy czasu, wydarzenia i ludzie, którzy nigdy się ze sobą – w tym miejscu – nie spotkali, ale których to właśnie miejsce «spotyka» [...], czyni ich współobecny, w szczególny sposób spowinowaconymi ze sobą i z miejscem”.²⁸

Odtwarzając warszawskie itinerarium Słowackiego, tropiąc ślady i miejsca, w których po przyjeździe (1829) zamieszkiwał poeta w Warszawie, także i te, zanim zamieszkał na Elektoralnej, pracując w nieodległym Pałacu Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu (dzisiaj będącego siedzibą warszawskiego Ratusza) – „Wystarczyło wyjść z domu i przejść nieco ponad 500 metrów bitą nawierzchnią ulicy Elektoralnej do placu Bankowego”. Leociak wymienia i inne sąsiednie adresy, wspomina między innymi i ten: „U zbiegu Elektoralnej, Przechodniej i placu Bankowego mijal dwupiętrową, ukończoną w 1825 roku kamienicę Ksawerego Brzostowskiego (nr hipoteczny – 769; przed wojną nr policyjny 3). Jesienią tego roku zamieszkał tu Antoni Malczewski wraz z Zofią Rucińską. Kiedy 2 maja 1826 zmarł, Rucińska uciekła z mieszkania na drugim piętrze, pozostawiając ciało Malczewskiego na pastwę losu. Mieszkanie opieczetowano i spisano protokół, który – jak podaje Maria Dernałowicz – rejestrował pozostawione przez zmarłego ruchomości: «podartą i poplamioną odzież, pościel, trzy łyżki i dziewięć widelców,

zegarek, dzieła Byrona i trzy egzemplarze *Marii*». Nie znamy miejsca pochówku Malczewskiego. Wiemy tylko, że leży gdzieś na Powązkach. W połowie XIX wieku na grobie jego przyrodniej siostry, Karoliny z Malczewskich Kulmanowej, Hipolit Skimbrowicz umieścił tablicę z napisem: «Autorowi *Marii*» [UE, 85].

I jeszcze jeden adres: „Przy ulicy Elektoralnej 11 (nr hipoteczny 794) od 11 listopada 1940 do 13 grudnia 1941 roku mieszkał Adam Czerniaków, prezes Judenratu w getcie warszawskim, po przeniesieniu się z ulicy Wspólnej 58 za mury dzielnicy zamkniętej. Kamienica, wzniesiona w 1913 roku, była własnością Andrzeja Piekarskiego, architekta i inżyniera budowlanego. Miała wczesnomodernistyczną fasadę, ponad czwartym piętrem elewacja zwieńczona była owalną facjatą. Czerniaków był namiętnym czytelnikiem literatury. Czytał oczywiście Słowackiego. Juliusz Słowacki tworzy w dzienniku Czerniakowa swoistą klamrę literacką, tak jakby diarysta otwierał swoje zapisy odnosząc się do Słowackiego [...] pierwszy zapis dotyczący Słowackiego – z 11 września 1939 – roku powstał w mieszkaniu Czerniakowa na Wspólnej 58; drugi zaś – 9 lipca 1942 roku na 14 dni przed śmiercią – powstał w mieszkaniu na Chłodnej 20. Po drodze przez trzynaście miesięcy mieszkał na Elektoralnej 11. Z górą miesiąc po przeprowadzce na Chłodną, zapisze w dzienniku pod datą 25 stycznia 1942: «Marzenie nocne: urodziłem się na Zimnej, pragnę umrzeć na Chłodnej». Tak się jednak nie stało. Umarł w siedzibie Judenratu na ulicy Grzybowskiej 26/28, przy swoim biurku, zażywając cyjanek potasu”.²⁹

9 lipca 1942 Czerniaków notował w dzienniku: „«Po obiedzie ulicznicy polscy ciskają kamienie przez murki na Chłodną. Po uprzątnięciu przez nas cegieł i kamieni na środku ulicy Chłodnej nie mają wiele amunicji. Często zadawałem sobie pytanie, czy Polska, to jest Mickiewicz i Słowacki, czy też ten ulicznik. Prawda leży pośrodku». Czerniaków był także poetą. Prezesem Judenratu największego getta okupowanej przez Niemców Europy i poetą. Można bez większego ryzyka powiedzieć, [...] że mieścił się w samym centrum nowożytnego polskiego patriotyzmu. Swoje wiersze publikował w «Głosie Gminy Żydowskiej». W numerze 7-8 z lipca 1939 roku, wydanym z okazji 60-lecia Szkoły Rzemieślniczej im. Dra Ludwika Natansona pisał m.in.:

Mówią nam, żeś walczył i nosił kajdany
Że Cię za bunt Twój w Sybirze więziono.
Żeś uczył w szkole, jak stał się hartuje
I jak się bryły mierzy i oblicza,
Żeś to przeplatał męką Traugutta
I zgonem rycerskim Joselewicza.

Od domu, w którym umarł Antoni Malczewski, do drewnianego mostu nad ulicą Chłodną, łączącego małe i duże getto, jest tylko 1000 metrów. Przemierzając całą Elektoralną ku zachodowi, mijamy dom, w którym Słowacki grzał się przy piecu, patrząc na księżyc. Przy kościele św. Karola Boromeusza, u wylotu ulicy Białej, Elektoralna wpada w Chłodną. Nieopodal, przy Chłodnej 20,

stoi pięknie odrestaurowana kamienica Pod Zegarem. Z jej okien Czerniaków widział most i aryjską ulicę, z której «ulicznicy polscy» rzucali kamienie do getta. Dom Malczewskiego został zniszczony w powstaniu warszawskim, a ocalałą fasadę rozebrano w latach pięćdziesiątych XX wieku. Nie odbudowano też zniszczonego w czasie wojny domu Słowackiego. Stoi tam teraz, tuż obok skrzyżowania z Aleją Jana Pawła II, blok mieszkalny, a przed nim granitowy głaz. Czy jednak naprawdę na Elektorальной nie ma już tych domów, i czy musi nam wystarczyć jedynie napis na granicie: «Tu stał dom...»?³⁰

Jak pisze Leociak: „Historia obeszła się z Elektorальной, tak jak z całym miastem, okrutnie. A przecież ulica, po której chodził Słowacki, miała też i trochę szczęścia. [...] Szczęśliwie nie zrealizowano innego pomysłu przebiecia trasy W-Z «po śladzie» Elektorальной, Chłodnej, Wolskiej, z dojazdem do mostu Kierbedzia w rejonie ulicy Bednarskiej. Tak jest, chodzi o tę samą trasę W-Z, opiewaną w pieśniach, która wychodząc z tunelu, biegnie po poszerzonej ulicy Leszno, przemianowanej na Al. Świerczewskiego, potem Slidarności. Złowieszczę brzmi w tej notatce Sigalina [architekta z Biura Odbudowy Stolicy – ZB] sformułowanie «po śladzie Elektorальной...». Jak memento dla całego obszaru, po którym wędrowaliśmy. I po którym – dzięki Bogu – wciąż możemy wędrować”.³¹

Pisząc o Słowackim w Warszawie, badacz literatury, a nie tylko miasta, jakim jest autor tego studium ulicy Elektorальной, oczywiście nie omieszcza i wspomnieć o tym, że: „Obrazy Warszawy – u Słowackiego – będą niosły prefigurację katastrofy. W *Ofiarowaniu* nogi Warszawy są «skrwawione». To Warszawa popowstaniowa. W poemacie o Piaście Dantyszku słyszymy krzyki matek i jęki dzieci wyrzynanych na Pradze w 1794 roku. *Uspokojenie* – tak jak opis ruin Palmyry w *Rzeczy o wolności słowa* Norwida – czytać można przez pryzmat powstania realnego, a nie projektowanego, powstania warszawskiego 1944 roku. To przecież wtedy «poruszyły się wszystkie kamienice» Starego Miasta i ujrzałyśmy «Piorun zgasły, walkę okropną skończoną, / Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną...»”.³²

To jednak, co wystarczy badaczowi i znawcom literatury, by tylko potrącić te dobrze znajome struny, to tu, gdy myślę jeszcze o tej relacji Białoszewskiego z Podwałą, o zwaleniu kolumny Zygmunta, gdy jeszcze mamy ją w pamięci, albo gdy patrzymy na zdjęcia zrobione przez Leonarda Sempolińskiego ze Starego Miasta i Placu Zamkowego zaraz po wojnie, zdjęcia powalanej kolumny i te z okolic zrujnowanej Katedry, zdjęcia wygrzebywanych z jej gruzów książących trumien, albo dziś, gdy przechodząc obok Zamku, widzimy złożone tam jej oryginalne fragmenty, to wszystko sprawia, że warto przywołać ten dziwny wiersz, o nie mniej dziwnym tytule *Uspokojenie*, tak, tak, ten zaczynający się od słów *Jest u nas kolumna w Warszawie....* w choćby trochę większych fragmentach, by ukazać mocniej tę prefigurację i profetyczną wizję powstańczej i popowstaniowej Warszawy:

[...]

To naprzód tam na rynku para oczu błysnie
I spojrzę w Świętojańską na przestrzał ulicę;
A potem się poruszą wszystkie kamienice,
A za kamienicami przez niebios otchłanie
Przyjdzie zorza północna i nad miastem stanie;
A za zorzą wiatr dziwne miotający blaski
Porwie te wszystkie zemsty i te wszystkie wrzaski;
Wicher jakiś z aniołów urobiony Pańskich,
Oderwany, jak skrzydło z widzeń Świętojańskich,
Przezroczysty jak brylant, a jak ogień złoty,
Który chwyci te zemsty, te światła, te grzmoty,
Zwinie i nimi ciemną uliczkę załże,
Jako brąz w niej zakipi, zaświszcze jak węże
I naprze tak, że będzie trzęsąca się cała
Jako wół sycylijski na miasto ryczała.
Usłyszycie wy wtenczas, serc naszych złodzieje,
Jaki wiatr z tej ulicy na miasto powieje;
Przez harmonikę tonów swój krzyk przeprowadzi,
O kościół katedralny skrzydłami zawadzi,
Porwie królewski zamek, otworzy jak trumnę,
A potem na Zygmunta uderzy kolumnę.
I z marmuru wyciągnie jakieś echo skalne,
Jakieś smętne, dalekie muzyki chóralne,
Które ja dziś już chwytam myślą na pół senną,
Słyszając ten wiatr i strunę pod wiatrem kamienną.
Więc kiedy kościół zadrży od stóp aż do skroni
I płaczącym się głosem na miasto rozdzwoni,
Więc kiedy ta kolumna w pomroku miesiąca
Zostanie gdzieś na placach, jak harfa grająca...
To wtedy co? – Krzyk jeden jak burza ponura,
[...]
Wyleci, jak koń śmierci zerwany z wędzidła,
O katedralny kościół otrze głośnie skrzydła...
A miasto co? – Słuchając z wyciągniętą szyją,
Powie: że tam się ciemni aniołowie biją,
Że tam szatan ogniste przywoławszy moce
Koń swój brązowy ciska i piorun gruchoce;
Że jako Machabeusz pod zwałonym słońcem,
Tak szewcy pod piorunem padają i koniem
Zgruchotani; że księżyc na niebie odkryty
Pokaże tę ulicę pustą, lud wybity,
Piorun zgasły, walkę okropną skończoną,
Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną...
[...]

Książki spadają z półek, otwierają się, same podchodzą pod ręce. Ta akurat leżała w ciszy. Podczas sierpniowej wycieczki do Treblinki w tym roku, wyłożona tam w stosie razem z mapami i folderami obok punktu informacyjnego i kasy z biletami do muzeum. „Klematis” nr 1 (5) z 2010 roku, a w niej artykuł Wandy Konopińskiej-Michalak: *Cudzoziemka na gruzach Warszawy* (bo to pismo to kwartalnik literacki Domu Marii i Jerzego Kuncewiczów, wydawany w Kazimierzu Dolnym). Na stronie 17 opublikowane *facsimile*: „Potwierdzenie zameldowania

cudzoziemca w Polsce”. Czytamy: „Ten kuriozalny certyfikat wydano Marii Kuncewiczowej w czasie jej pierwszej wizyty w Polsce po exodusie w 1939. Jest rekwizytem [...], symbolizującym los autorki *Cudzoziemki*, która zmagala się z narodowym wykorzeniem i etykietką «obcej». Nietrudno sobie wyobrazić, co czuła pisarka stanawszy po 19 latach emigracji na gruzach Warszawy, którą nazwała Itaką i Araratem:

«Ładując w 1958 roku w Warszawie nie odniosłam wrażenia, że opuszczam się z wyżyn na płaszczyznę; przeciwnie, moi bliscy za siatką, oddzielającą pasażerów od tubylców, wydali mi się ustawieni na szczycie dla wybrańców; Ararat nie dla mnie. Itaka? Jedno i drugie było na Okęciu. Później ocean między Chicago a Kazimierzem zaczął z roku na rok wysychać, Ararat zapadał w Itakę – i nie był to powrót do młodości. Ci, których młodość zatrzymałam w pamięci, witali mnie starymi twarzami, młode twarze nie należały do mojego czasu. [...] Samotność i w samotności nadzieja może się odnajdę. Ararat... Nie biblijna góra dla ocalonych, tylko szczyt w ojczyźnie wewnętrznej każdego człowieka». Kuncewiczowa szuka pocieszenia obcując z ocalonymi budynkami i przedmiotami: «Rzeczy są trwalsze, więc oczy szukały w przypiływie Nowego starych przedmiotów. Ręce z miłością dotykały starego satyra, na którego barkach przetrwał zegar słoneczny w ogrodzie mojej młodości. Dłonie rwały się do żelaznej szpuli w sztachecie fontanny, gdzie przekradałam się za piłką na trawnik, nadstawiając pięcioletnią twarz pod zawieruchę kropel». Jednak radość nie trwała długo: Wzrok przywierał do rozdartych murów, do osmalonych cegieł, nade wszystko do flizów splekanych, wgniecionych w ziemię przez tanki i uciekające tłumy. Ślady... pod grubą warstwą śladów, na samym spodzie ślad stopy małego chłopca, dawno wystygły, przebrzmiały. [...] Na starym rynku płakałam. [...] Co mogę wiedzieć o tych, co rozkopali tutejsze gruzy, jak pani Farjaszewska, która pochowała córkę, owinawszy w koc płytko – na tym właśnie rynku. Ewa ratowała zabytki. Znosiła do piwnicy Baryczków połamane gzymsy, urwane skrzydła Bazyliuszka. Tam ją granat rozerwał».³⁴

Na kolejnych stronach znajdujemy zdjęcia mapy układu przedwojennych ulic w rejonie dzisiejszego Pałacu Kultury i „największego placu w Europie”. Pośród nich zdjęcie ulicy Siennej: domu nr 16 – ostatniej siedziby sierocińca doktora Janusza Korczaka: „Stamtąd od ulicy Śliskiej 9 wyprowadzono doktora i jego dzieci na Umschlagplatz».³⁵

Nieopodal po nieparzystej stronie pod nr 19 stał dom Kuncewiczowej. Widać go na innym zdjęciu (zachowanym z 1941, z Małego Getta), za ruinami na pierwszym planie. Jeszcze nie zburzony. To widok Siennej sfotografowany od strony ulicy Wielkiej. Na następnym: barykada powstańcza 1944, na ulicy Siennej zbudowana pomiędzy kamienicami nr 19 i 20.

Zatoczyliśmy koło. Żeby w Treblince znaleźć się w miejscu duchów warszawskich ulic...

„Aby wzniesć Pałac Kultury (jak oblicza się, przed rokiem 1939 mieszkało na tym obszarze ponad 45 tysięcy osób) wyburzono kilkadziesiąt budynków na Złotej, Wielkiej, Zielnej, Chmielnej i Siennej – które w różnym stanie przetrwały wojnę [...] jednym z unicestwionych budynków była kamienica przy ul. Siennej 19, w której w mieszkaniu nr 7, spędziła część swego szczęśliwego dzieciństwa Maria Kuncewiczowa».³⁶ Dom pod nr 16, który znalazł się w Getcie i w którym znalazł schronienie Janusz Korczak ze swoimi wychowankami: „Budynek ukończony w 1914 roku według projektu Teofila Wiśniowskiego i Apoloniusza Niewskiego, przetrwał wojnę niemal bez zniszczeń. Po wojnie mieścił się tu nawet teatr kukielkowy. Dom zburzono w 1954».³⁷

O *Pamiętniku* Korczaka, jedynym maszynopisie, jaki ocalał i zgodnie z wolą Korczaka po wywiezieniu go z dziećmi z Domu Sierot do Treblinki, został mu doręczony, pisał Igor Newerly we wstępie do jego pierwodruku (który ukazał się w 1958): „Mieszkania swego na Żoliborzu nie uważałem podówczas za dość bezpieczne dla przechowania tak cennego dokumentu. Zwróciłem się więc do Maryny Falskiej z prośbą o ukrycie go w Naszym Domu na Bielanach [Domu opieki dla dzieci robotniczych założonym wspólnie przez Falską i Korczaka najpierw w Pruszkowie, potem ich staraniem zbudowanym na Bielanach³⁸ – przyp. ZB] i zdążyłem jej przekazać przed moim aresztowaniem. Z polecenia Falskiej pracownik Naszego Domu, Władysław Cichosz, zamurował maszynopis na strychu sierocińca. Po wojnie, gdy internat został przejęty przez Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, Cichosz wydobyl zamurowane papiery i ponieważ Falska już nie żyła [«Wyrwała w Naszym Domu dosłownie do ostatniej chwili: zmarła 7 września 1944, po otrzymaniu rozkazu opuszczenia z dziećmi domu i Warszawy – zmarła na atak serca»³⁹] – wręczył prezesowi Towarzystwa, Stanisławowi Żemisowi, ten z kolei oddał mi je po moim powrocie z obozów koncentracyjnych [...]. *Pamiętnik* Korczak pisał w getcie od maja do sierpnia 1942 roku. Jakkolwiek od dawna, bo już od 1939 roku, w narastającym poczuciu osamotnienia, nosił się z zamiarem zostawienia po sobie wypowiedzi. *Nie tyle próba syntezy, ile grobowiec prób, doświadczeń, błędów. Może to się przyda komuś, kiedyś za pięćdziesiąt lat...* Pierwsze kartki skreślił w styczniu 1940 roku i znów odłożył. Dopiero po dwóch latach, w obliczu zbliżającej się zagłady, wznowił te notatki i prowadził mniej więcej systematycznie do końca. [...] Podziemnym nurtem wzbierał ruch oporu i – gdy Korczak kończył *Pamiętnik* – getto znało już pierwsze walki uliczne. [...] W getcie, skupiającym ogromne rzesze inteligencji, w tej liczbie sporo inteligencji twórczej, do ostatka próbowano żyć po ludzku resztkami współczesnej wiedzy i kultury. Naukowcy i artyści zapamiętywali się w swej pracy. Młodzież garnęła się do nielegalnych uczelni i kompletów, na wykłady profesorów z poszczególnych dyscyplin. Istniały studia teatralne, zespoły artystyczne. Wystawy, koncerty, wieczory autorskie, prelekcje znakomitych uczonych ścigały tłumy.

I wszystkie bóżnice były pełne. Mury dotychczasowych świątyń nie mogły zmieścić takiej fali mistycyzmu, żar innych wyobrażeń religijnych szukał ujęcia poza Adonai – i Chrystus, bóg udręczonych, bóg Golgoty siedł przez getto rozdając chrzest i ukojenie ofiarną ręką ks. Platera. Kościół Najświętszej Panny Marii był również pełen wiernych w opaskach – stygmatach doczesnej męki i pohańbienia. [...] Zbrodnia, strach, nikczemność żerowały na nędzy, na głodzie, wypychając słabszych w transporty śmierci. Uczty i orgie w ekskluzywnych restauracjach miały w sobie coś z Apokalipsy. W tej dzielnicy spiętrzonych kontrastów, w tych warunkach nieustającej makabry nie było – jak mi się wydaje i na to chciałbym zwrócić uwagę – nie było ludzi całkiem normalnych. Klimatu getta czy Oświęcimia nikt nie może wytrzymać bez szkazy dla swojej jaźni. [...] W czasie pisania *Pamiętnika* Korczak miał sześćdziesiąt cztery lata, zrujnowany organizm i poczucie pełnej odpowiedzialności za losy przeszło dwustu dzieci i młodzieży w wieku od siedmiu do siedemnastu-osiemnastu lat, w tej liczbie sporo byłych wychowanków, którzy schronili się u niego. Internat mieścił się w narożnym domu przy ulicy Sienna 16 – Śliska 9, w dawnym gmachu Resursy Kupieckiej. Wielka sala na pierwszym piętrze o kilku małych bocznych pokoikach skupiała właściwie całe życie sierocińca. W nocy była sypialnią, w dzień jadalnią i miejscem zajęć. Przemysłnie poustawiane szafy i sprzęty dzieliły ją na klasy, szwalnię, czytelnię i inne zakątki o specjalnym przeznaczeniu. Na drugim piętrze, gdzie znajdowała się dawna sala bankietowa, odbywały się wszystkie imprezy i przedstawienia Domu Sierot, tam między innymi wystawiono *Pocztę* [Rabindranatha Tagore’a].⁴⁰

Korczak bierze w opiekę i drugi dom „dla podrzutków” przeniesiony z ulicy Płockiej na Dzielną, w którym wymierały dzieci zebrane z ulicy w stanie krańcowego wyczerpania.⁴¹ W *Ofercie* złożonej do Gminy Żydowskiej, oburzony na panujące tam warunki, pisze: „Domagają się ode mnie życzliwi, bym napisał testament. Czynie to obecnie w swym *curriculum vitae*, składając ofertę na posadę wychowawcy w Internacie dla sierot Dzielna 39. Mam lat sześćdziesiąt cztery. Egzamin zdrowia zdałem w roku ubiegłym w więzieniu. Mimo fetygujące warunki pobytu ani razu nie chorowałem, nie zwracałem się do lekarza, ani razu nie zwolniłem się z gimnastyki, ze zgrozą unikanej przez młodych nawet kolegów. (Apetyt wilczy, sen sprawiedliwy, niedawno po dziesięciu kieliszkach mocnej wódki wróciłem sam spiesznym krokiem z ul. Rymarskiej na Sienną – późnym wieczorem. Wstaję w nocy dwukrotnie, wylewam dziesięć dużych kubłów). [...] Dzięki wyrobieniu posiadam dużą umiejętność współżycia i współpracy nawet z typami kryminalnymi, z urodzonymi matołami. Ambitni, uparci durnie dyskwalifikują mnie, nie ja ich. [...] Przewiduję, że typy kryminalne spośród personelu internatu na Dzielnej opuszczą dobrowolnie znienawidzoną placówkę, z którą wiąże ich tylko tchórzostwo i inercja.

[...] Gimnazjum i uniwersytet skończyłem w Warszawie, wykształcenie dopełniłem w klinikach Berlina (rok) i Paryża (pół roku). Miesięczny wypad do Londynu pozwolił mi zrozumieć na miejscu istotę pracy charytatywnej (duży dorobek). [...] Mistrzowie moi w szpitalu na Śliskiej: ironista i nihilista Korał, jowialny Kramsztyk, poważny Gantz, świetny diagnosta Eliasberg, poza tym – felczer chirurg Sliżewski i pielęgniarka ofiarna Łaja. Spodziewam się spotkać więcej takich Łaj – bohaterów w rzeźni dla dzieci (i domu przedpogrzebowym) na Dzielnej 39. [...] Tereny pracy: 1. Siedem lat z przerwami, jako jeden tylko lekarz miejscowy szpitala na Śliskiej. 2. Przeszło ćwierć wieku w Domu Sierot. 3. Piętnaście lat w Naszym Domu – Pruszków, Pola Biełańskie. 4. Około pół roku w przytułkach dla dzieci ukraińskich pod Kijowem. 5. Byłem biegłym przy Sądzie Okręgowym do spraw dzieci. 6. Byłem referentem pism niemieckich i francuskich dla Kasy Chorych w przeciągu lat czterech. Wojny: 1. Punkty ewakuacyjne w Charbinie i Taolaj-dżou. 2. Pociąg sanitarny (wenerycznie chorzy zrewolucjonizowanej armii z Charbina do Chabarowska). 3. Młodszy ordynator lazaretu dywizyjnego. 4. Szpital epidemiczny w Łodzi (epidemia czerwoni). 5. Szpital epidemiczny na Kamionku. [...] Okres próbny wykreślałem na cztery tygodnie, poczynawszy ze względu na terminowość zadania od środy, a najpóźniej czwartku. Proszę o mieszkanie służbowe i dwa posiłki dziennie. Żadnych innych warunków nie stawiam, nauczony przykrym i dotkliwym nie dla mnie doświadczeniem. Pod mieszkaniem rozumiem kąpiel, posiłki z ogólnego kotła, zresztą i tego wyrzec się mogę. – Dnia 9 lutego 1942 r. (–) *Goldszmit*”.⁴²

W *Pamiętniku*, który jest rozrachunkiem z życiem, Korczak liczy je i podsumowuje w osobliwy sposób: „Pierwszy raz zapomniałem, że żyję w dziesiątym siedmioleciu życia 7 x 9. Z największym niepokojem czekałem na 2 x 7. Może wtedy właśnie usłyszałem o tym po raz pierwszy. Cygańska siódemka, siedem dni w tygodniu. Dlaczego nie zwycięska dziesiątka onego czasu (ilość palców)? [...] Gepner 7 x 10, ja 7 x 9. Jeśli przebiegnę życie to siódmy rok dał poczucie swojej wartości. Jestem. Ważę. Znaczę. Widzą mnie. Mogę. Będę.

Czternaście lat. Rozglądam się. Dostrzegam. Widzę... Miały mi się otworzyć oczy. Otworzyły się. Pierwsze myśli o reformach wychowawczych. Czytam. Pierwsze niepokoje i nieukoje. [...] 3 x 7. W siódmym roku szkoła, w czternastym – dojrzałość religijna, w dwudziestym pierwszym – wojsko. Było mi ciasno już dawno. Wtedy więziła mnie szkoła. Teraz jest mi ciasno w ogóle. Chcę zdobywać, walczyć o nowe przestrzenie. [...] 4 x 7. Potrzeba działania sprawnego na ograniczonym własnym warsztacie. Chcę umieć, wiedzieć, nie lenić się, nie błędzić. [...] 5 x 7. Na loterii życia wygrałem stawkę. Mój numer już wyszedł z koła. Stawka – tyle tylko, że nie przegram w tym ciągnięciu, o ile nie zaryzykuję na nowo. To dobrze: mogłem przegrać. Ale straciłem szansę głównej

wygranej, znacznej wygranej – szkoda. Bezpiecznie. Ale szaro – żal. [...] 6 x 7. A może już?, czy jeszcze czas? To zależy. Zrobmy bilans. Ma, winien. Gdyby można wiedzieć, ile jeszcze lat, kiedy kres. Jeszcze śmierci w sobie nie czuję, ale już ją rozważam. Jeśli mi krawiec szyje nowe ubranie, nie mówię: to już ostatnie, ale to biurko i szafa na pewno mnie przeżyją. [...] 7 x 7. Czym właściwie jest życie, czym jest szczęście? Byle nie gorzej, byle tak właśnie jak teraz. Dwie siódemki spotkały się, układnie pozdrowiły się, rade tak właśnie i tu właśnie, i w takich warunkach. Gazeta – pozornie tylko bezmyślna literatura. A choćby nawet. Bez gazety nie można. Są i artykuły wstępne, i odcinek powieści i nekrologi, i sprawozdania z teatru i sądu. Kino – nowy film. Nowa powieść. Drobnie wypadki i drobne ogłoszenia. [...] Ten chce kupić maszynę do szycia czy do pisania albo sprzedaje pianino, albo szuka trzech pokoi z wygodami. Szerokie koryto rzekłbym, majestatycznie płynącej Wisły, takiej właśnie jak pod Warszawą. [...] Byle nie gorzej. Bo gdyby można powiedzieć słońcu: stań, to chyba teraz (jest taki traktacik *O najszczęśliwszym okresie życia* – i kto by uwierzył, że Karamzina. Dokuczył on nam w rosyjskiej szkole). 7 x 8 = 56. Jak te lata zbiegły. Właśnie zbiegły. Dopiero wczoraj było 7 x 7. Nic nie przybyło, nic nie ubyło. Jaka olbrzymia różnica wieku: siedem i czternaście, czternaście i dwadzieścia. A dla mnie ten, który 7 x 7 i ten co 7 x 8 – pełne równolatki. [...] Wiem można życie rozczłonkować na pięciolecia – byłoby też można, żeby się zgadzało. Wiem: warunki. Bogactwo, bieda. Powodzenia, troski. Wiem: wojna, wojny, katastrofy. A i to względne. Powiedziała mi jejmość: «Rozkaprysiła mnie wojna, trudno mi się było potem przyzwyczaić». Nawet ta dziś ostatnia rozkaprysiła wielu. A nie ma zdaje się człowieka, który by nie sądził, że mankamenty sił, zdrowia, energii płyną nie z wojny, ale z tego 7 x 8 i 7 x 9.

Jakie nieznośne sny! Wczorajszej nocy: Niemcy, ja bez opaski w godzinie niedozwolonej na Pradze. Budzę się. Znow sen. W pociągu przenoszą mnie do przedziału, metr na metr, gdzie jest już kilku Żydów. Dzisiejszej nocy znow zmarli. Zwłoki zmarłych dzieci. Jedno martwe w szafliku. Drugie odarte ze skóry, na pryczy w kostnicy, wyraźnie oddycha. Nowy sen: ja na wywrotnej drabinie wysoko, a ojciec raz wraz pcha do ust babkę, duży kawał, taka z lukrem i z rodzynkami, a to, co się nie mieści w ustach, pokruszone wkłada do kieszeni.

Budzę się spocony w chwili najgroźniejszej. Czy śmierć nie jest takim przebudzeniem w momencie, gdy zdawało się, że już nie ma wyjścia? «Każdy przecież może znaleźć te pięć minut, żeby umrzeć» – czytałem gdzieś⁴³.

*

„Teraz rok 1942. Maj. Chłodny maj w tym roku. I ta dzisiejsza noc, najcichsza z cichych. Godzina piąta rano. Dzieciaki śpią. Jest ich naprawdę dwie setki. Na prawym skrzydle Pani Stefa, ja na lewo, w tzw. izolacie. Łóżko moje w środku pokoju. Pod łóżkiem butelka wódki. Na

nocnym stoliku razowy chleb i dzbanek wody. Pocciwy Felek naostrzył ołówki, każdy z dwóch stron. Mógłbym pisać piórem wiecznym, jedno dała mi Hadaska, drugie – pewien papa niesfornego synka. Rowek mi się od tego ołówka na palcu wyślubił. Teraz dopiero przypomniało mi się, że można inaczej, że łatwiej piórem. Nie darmo tatulo nazywał mnie w dzieciństwie gapą i cymbałem, a w burzliwych momentach nawet idiotą i osłem. Jedna tylko babcia wierzyła w moją gwiazdę”.

*

„Noc. Mam o niej i o dzieciach śpiących notatki. Trzydzieści cztery bloczki notatek. Dlatego właśnie tak długo nie mogłem się zdecydować na pisanie pamiętników. Zamierzam napisać: 1. Gruby tom o nocy w sierocińcu i w ogóle o śnie dzieci. [...] 8. Jakże zmarnować materiał pół tysiąca wykresów wagi i miary wychowawców i nie opisać pięknej rzetelnej, radosnej pracy wzrostu człowieka?”

*

„Godzina szósta i pół.

Krzyknął ktoś z sypialni:

– Chłopaki, kąpiel, wstawać!

Odkładałem pióro. Wstać czy nie? Dawno nie kąpałem się. Wczoraj złapałem na sobie i zamordowałem bez skrępułów wesz.

Jeżeli zdążę, napiszę apologię wszy. Bo niesprawiedliwy i niegodny jest nasz stosunek do tego pięknego owada.

Rozgoryczony chłop rosyjski orzekł:

– Wesz nie człowiek, wszystkiej krwi nie wypije.

Ułożyłem krótką powiastkę o wróblach, które lat dwadzieścia karmiłem. Postawiłem sobie za zadanie zrehabilitować małych złodziejaszków. Ale kto wejrzy w upośledzenie wszy?

Kto, jeśli nie ja?

Kto wystąpi, kto będzie miał odwagę wystąpić w jej obronie?”

*

„Warszawa jest moja i ja jestem jej. Powiem więcej: jestem nią. Razem z nią cieszyłem się i smuciłem, jej pogoda była moją pogodą, jej deszcz i błoto moim też. Z nią razem wzrastałem. Oddaliliśmy się ostatnio”.

*

„Życie moje było trudne, ale ciekawe. O takie właśnie prosiłem Boga w młodości.

«Daj mi, Boże, ciężkie życie, ale piękne, bogate, górne». Kiedy dowiedziałem się, że tak samo Słowacki, było mi przykro, że nie mój wynalazek, że miałem poprzednika”.

*

„Taki jest porządek życia.

Tak człowiek i zwierzęta, tak bodaj drzewa, a kto wie, może nawet i kamienie. [...]

«Kto rano na czterech nogach, w południe raźnie na dwóch, a wieczorem na trzech?».

Ty – na kiju wsparty, zapatrzony w gasnące, chłodne promienie słońca, które zachodzi...”

*

„Duch tęskni w ciasnej klatce ciała. Ludzie czują i rozważają śmierć pod kątem końca, a jest ona tylko dalszym ciągiem życia, innym życiem.

Jeśli nie wierzysz w duszę, musisz przecież uznać, że ciało twoje żyć będzie jako trawa zielona, jako obłok. Jesteś przecież wodą i prochem.

«Świat jest przemianą zła, wieczyście trwałą» – mówi Tetmajer.

Ten niedowiarek, pesymista, ironista, nihilista też mówi o wieczności”.

*

„Proust jest rozległy i drobniagowy? O, nie! Każda godzina – to gruby zeszyt, to godzina czytania. No tak. Musisz czytać cały dzień, żeby zrozumieć jako tako mój dzień”.

*

„21 lipca 1942

Jutro kończę sześćdziesiąt trzy albo sześćdziesiąt cztery lata. Ojciec przez parę lat nie wyrabiał mi metryki. [...]

Pradziadek był szklarzem. Rad jestem szkło daje ciepło i światło. [...]

Ciężka to rzecz urodzić się i nauczyć się żyć. Pozostaje mi wiele łatwiejsze zadanie: umrzeć. Po śmierci może być znów ciężko, ale nie myślę o tym. Ostatni rok czy miesiąc, czy godzina.

Chciałbym umierać świadomie i przytomnie. Nie wiem, co powiedziałbym dzieciom na pożegnanie. Pragnąłbym powiedzieć tyle i tak, że mają pełną swobodę wyboru drogi.

Godzina dziesiąta. Strzały: dwa, kilka, dwa, jeden, kilka. Może to moje właśnie okno źle zaciemnione.

Ale nie przerywam pisania.

Przeciwie: lotniejsza (strzał pojedynczy) staje się myśl”.

*

„27 lipca 1942 *Wczorajsza tęcza*

Wczorajsza tęcza.

Cudowny księżyc wielki nad obozem tułaczy.

Dlaczego nie mogę uspokoić nieszczęsnej, obłąkanej dzielnicy”.⁴⁴

Przywołane i przypomniane przez autorkę artykułu zamieszczonego w „Klematis” wyznania Kuncewiczowej związane z jej powrotem do Warszawy pochodzące z *Natury* (1975) powodują, że trzeba by wejść w inne ulice i odgałęzienia. Więc teraz już i dalej, naprawdę na zasadzie komunikatu i notatek (może kiedyś do rozwinięcia), zanim powrócimy do Alei Róż:

Klematis: powojnik, powój.

„Powój wyrośnie z plam zeschniętej krwi.

Gdzie żyto kłęka, tam wstaną bulwary.

I pokolenie pyta: jak to było?

Aż żaden miasto nie zostanie kamień.

W miejscu na którym leżał i przeminiesz.

Płomień rozgryzie malowane dzieje

Jak wykopany grosik będzie pamięć.

Za twoje klęski dostaniesz nagrodę.

Na znak, że tylko mowa jest ojczyzną

Mur twój obronny u twoich poetów”.⁴⁵

U Korczaka: cudowny księżyc, wielki nad obozem tułaczy. I u poety getta warszawskiego Władysława Szlengla w *Oknie na tamtą stronę*: „księżyc Wachmeister”, wołanie do Warszawy: „A ja... kiedy noc zapada.../ by wszystko wyrównać i zatrzeć, dopadam do okna w ciemności / i patrzę... żarłocznie patrzę... / i kradnę zgaszoną Warszawę, szumy i gwizdy dalekie, / zarysy domów i ulic, / kikuty wieżyc kalekie... / Kradnę sylwetkę Ratusza, / u stóp mam plac Teatralny, /pozwala księżyc Wachmeister / na szmugiel sentymentalny... Wbijają się oczy żarłocznie, / jak ostrza w pierś nocy utkwione, / w warszawski wieczór milczący, / w miasto me zaciemnione... / A kiedy mam dość zapasu / na jutro, a może i więcej... / żegnam milczące miasto, / magicznie podnoszę ręce... / zamykam oczy i szepczę: – Warszawo... odezwij się... czekam.”

Dwa księżyce i Dwie śmierci.

Warszawa, miasto nierzeczywiste... miasto-widmo, miasto milczenia, miasto nieistniejące i tak bardzo rzeczywiste – *Jeruzalem żalu... – Ararat... Itaka... Palmyra...*

Warszawa u Kuncewiczowej, Warszawa tułaczy, emigrantów i wygnańców, wysiedleńców i przesiedleńców w świecie. Widziana i pamiętana stamtąd. Warszawa Lechonia. I w ogóle postawiony, podjęty przez nią na emigracji w działaniach PEN-klubowych poza krajem, opisany w *Naturze* problem: „Ludzie bez miejsca” (*displaced person*). Jak tutaj? I tamta Warszawa zobaczona w Nowym Jorku, w 1971 roku, podczas uroczystości wręczenia nagrody Fundacji Kościuszkowskiej: „Na przekór Kościuszcze i marcowi 1971 wyłania się z Ameryki ulica Mazowiecka lat trzydziestych. Siwa markiza, Rodzińska, przestaje być wdową po Arturze, przemienia się we wdowę po «tamtej» muzyce, ciemnooka Uniłowska – z wdowy po Zbyszku – urasta na wdowę po «tamtej» literaturze, cicha bizantyjska Hania Kister, spowita we wzorzysty szal, nie jest już wdową po Marianie, jest wdową po *Dwóch* (zgasłych) *księżycach*, po *Republice globu* Kuncewicz, po *Ferdydurce*, po *Sklepach cynamonowych* i *Szczurach*, wdową po kawiarni «Ziemiańskiej». Patrzę na Jantę i wydaje mi się wdowcem po «tamtych» ‘Wiadomościach literackich’. Ulica Mazowiecka wydłuża się, pęcznieje ludźmi, obrazami, wypływa za warszawskie rogatki, sunie przez Mazowsze [...] – płynie Mazowiecka środkiem ulicy 65 East”.⁴⁶

Warszawa snów Białoszewskiego z pojawiającym się w nich ojcem, widziana z góry, na planie z nowym adresem na Woli, do którego trzeba jechać „autobusem zza Wisły w kielbasę [...] aha, tak w petłę” (snów opisanych w *Zawale, Szumach, złepach, ciągach* i zinterpretowanych przez Martę Zielińską w *Warszawie – dziwnym mieście*) i snów dzieci z sierocińca opisanych na trzydziestu czterech bloczkach notatek Korczaka, i jego snu („ja na wywrotnej drabinie wysoko”) z ojcem, pociągiem, w przedziale metr na metr.

Warszawa żywotów równoległych (Miłosz i Bałaban, Słowacki i Czerniaków). Widzianych równocześnie. Białoszewski i Korczak. Czy to ta sama tęcza, którą zobaczyli w okupowanej, wojennej Warszawie?

Warszawa zakopywanych i wędrujących pomników, jak Paderewskiego, tropionych i niszczonych przez Niemców z niezwykłą zaciętością, wysadzanych w powietrze, jak księcia Józefa Poniatowskiego sprzed Pałacu Saskiego, z którego kolumnady zachował się tylko fragment z grobem Nieznanego Żołnierza, pomnikiem potem odtworzonym i ukrytym przy Starej Pomarańczarni w ogrodzie dzieciństwa, powracającym w przejeździe przez miasto, do zupełnie innego miejsca (opisanym i otoczonym mgłą baśni w *Pamiętniku mistycznym* Małgorzaty Baranowskiej). Warszawa zamurowywanych maszynopisów i płonących bibliotek. [„25 października 1944 starannie spalono – od piwnic, piętro po piętrze – gmach Biblioteki Krasieńskich przy ulicy Okólnik, a w nim starodruki i największy w Polsce zbiór rękopisów, stanowiący główną podstawę źródłową historii polskiej. Ogień strawił ok. 2000 inkunabułów, 50 000 rękopisów oraz 100 000 starodruków i innych pozycji [...]”. 1 maja 1940 roku pomnik Chopina został przez Niemców wysadzony w powietrze i pocięty palnikami na mniejsze części. Złom powstały w wyniku tej dewastacji wywieziono koleją na zachód, gdzie jego fragmenty zostały użyte jako surowiec przeznaczony do przetopienia w niemieckiej hucie. Niemcy starali się zniszczyć także wszystkie kopie pomnika przechowywane w polskich muzeach. Jednemu z pracowników Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu udało się ukryć w piwnicy kopię głowy pomnika. Niemcy zniszczyli jednak wszystkie gipsowe repliki oraz drewnianą kopię rzeźby w skali 1:2, którą do poznańskiego muzeum przekazał sam autor”⁴⁷].

Na tle powojennej Warszawy ruin i gruzów opisana na wstępie Aleja Róż, ulica poetów prowadząca do Ogrodu Ujazdowskiego, z posągiem „Ewy” wydawać by się mogła miejscem idyllicznym, rajskim niemal. A przecież tak nie jest. W *Pamiętniku mistycznym* Małgorzata Baranowska, pisząc o zabawach w gruzach, trochę z przekąsem wspomina o tych, co w nich nie mieli udziału, nie uczestniczyli: „Czy to znaczy, że nie było już w ogóle ulic? Nie, przypominam sobie, że były, ale kto się na nich chciał bawić i na nich tylko, i w ocalałych parkach pozostawać, nie wiem”. Zapomina przy tym jakby o ważnej w tej kwestii, nawet drobnej, nieznacznej różnicy wieku. Wystarczyło dwa, trzy, pięć lat różnicy, żeby tylko słyszeć o do-

konaniach i przygodach starszego rodzeństwa czy kolegów jeżdżących na wagonetkach, którymi rozwożono gruz z rozbieranych domów i ze zrujnowanych zwalów w najbliższej okolicy, czy wspinających się i szalejących po rusztowaniach odbudowywanych czy budowanych kamienic. Oczywiście i tu w najbliższej okolicy Alei Róż gruzów nie brakowało, i dobrze je pamiętam, na Marszałkowskiej, na Polnej, na 6 Sierpnia (dzisiejszej Alei Wyzwolenia), na której wznoszono warszawski Place des Vosges – Latawiec. Na Pięknej, na terenach dzikiej Agrykoli zanim poprowadzono tam trasę Łazienkowską i odbudowano Zamek Ujazdowski (rozebrany po wojnie) – gruzów i ruin nie brakowało przez lata. Oczywiście pamiętam i parterową Marszałkowską, widzianą z okien przez lata Kościół Zbawiciela z jedną tylko całą (a drugą zrujnowaną, przetrąconą w połowie) wieżą, czy ten stary zapadnięty dom na ulicy Służewskiej 3, otoczony budowanym wokoło Latawcem, który potem nagle zniknął, gdzie chodziliśmy do mieszkających w nim kolegów ze szkoły, tamto stare podwórko, drewniane schody, przepierzenia i kotary dzielące mieszkanie na „pokoje”, z trzymanymi za drzwiami dwoma beczkami smakowitych dóbr przygotowanych przez ich zapobiegliwą matkę-gospodynię (jedna beczka z kiszoną kapustą, druga z kiszonymi ogórkami, przykrytymi miską obciążoną dużym, okrągłym, oślizłym, zanurzonym w wodzie kamieniem, który trzeba było unieść, żeby się do nich dostać). Dopiero po wielu latach, gdy dom zniknął, zorientowałem się, dowiedziałem, że to był dom ojca Gombrowicza, w którym Witold Gombrowicz mieszkał. O Alei Róż, Chopina, Alejach Ujazdowskich – ulicach eleganckich, jakby z innego świata i mieszczących się tam pałacykach, rezydencjach i zagranicznych ambasadach, do których biegaliśmy po znaczki, i z których dziś niewiele tu zostało (nie ma już np. brytyjskiej – stoi pusty, wymarły pałacyk, wiele lat jeszcze wcześniej zniknęły z jej płotu – oświetlane o zmroku gabloty ze zdjęciami z życia rodziny królowej Elżbiety, ważny przystanek wieczornych spacerów) – o tym wszystkim mógłbym długo tu opowiadać, ale przecież nie o sentymentalne wspomnienia tu idzie.

Przyrastanie, odrastanie, odkrywanie tej, która już dawno znikła, i tej znikającej dzisiaj na naszych oczach Warszawy, to nieustanne związane z tym miastem doświadczenie. Odkrywanie tego dziwnego, widmowego, fantasmagorycznego i do krwi i bólu rzeczywistego, podwójnego istnienia miasta (w którym się liczy czas sprzed zburzenia i po zburzeniu) to nieustanny – związany tak z osobniczym wiekiem, jak i okolicznościami, przeszkodami i takimi czy innymi uwarunkowaniami niesionymi przez historię – postępujący p r o c e s. Wystarczy przypomnieć, że większość z przywoływanych tu książek, pisanych po zagładzie miasta, poczynając chyba od najważniejszej dla uchwycenia obrazu „tamtej” i „tej”, „już innej” – po zagładzie – Warszawy, jakim jest *Pamiętnik z powstania warszawskiego* Białoszewskiego (1970), ukazało się dopiero w latach siedemdziesiątych

i późniejszych: *Pamiętnik mistyczny* Małgorzaty Baranowskiej (1987 [Rozbiórka 1974-75]); *Warszawa – dziwne miasto* Marty Zielińskiej, (1989-95); *Natura* Kuncewiczowej (1975). Nie inaczej jest z poematem Błoka. Książka Adama Galisa rekonstruuje dzień po dniu pobyt poety w Warszawie wydana została w 1976 roku. A sam poemat w tłumaczeniu tego autora dopiero w 1989 (sic!) roku. Trzeba było czekać 13 lat (choć jego fragmenty w tym i innych tłumaczeniach były dostępne).

Poeta zaczął go pisać w 1911 roku, dwa lata od swojego pobytu w Warszawie – jak sam przedstawia to w przedmowie napisanej w 1919, którą odczytał wraz z trzecim rozdziałem *Odwetu* na zebraniu zespołu redakcyjnego wydawnictwa Literatura Światowa.⁴⁸

Mam ten egzemplarz wydania z 1989 roku przed sobą (cena 680 zł – nie pamiętam, czy to wtedy było dużo, czy mało?). Na okładce zaprojektowanej przez Macieja Buszewicza widzimy grom, „piorun nie zgasły” przeszywający litery: Aleksander Blok *Odwet* – wycięte, jak z plakatu, obwieszczenia, z którym kojarzyć się może słowo „Achtung”, („Uwaga”, „Ostrożnie”), z przebiegającym z góry na dół przez całą okładkę czerwonym znakiem błyskawicy, jakie widniały na ostrzeżeniach, wiszących na drutach urządzeniach elektrycznych, informacyjnych tablicach, żeby się do nich nie zbliżać.

Adam Galis drobniaczko przedstawił te siedemnaście dni spędzonych przez poetę w Warszawie, wynik swoich długoletnich badań i poszukiwań, odtworzył nocną wędrówkę poety po mieście, a także interpretacje dotyczące idei i przesłania tego warszawskiego, polskiego poematu, wyłożone we wspomnianej, wygłoszonej przez poetę przedmowie, opublikowanej wraz z jego przekładem w tym wydaniu, omawiając jego związki z polską poezją i literaturą w obu swoich książkach,⁴⁹ nie miejsce tu na to, by je referować. W największym więc skrócie, tytuł poeta zaczerpnął z Ibsena, kładąc te słowa w motcie do swego poematu: „Młodość – to odwet”.⁵⁰ (Dając zapowiedź w prologu, że będzie to rzecz „O tym, jak wybiera w sercach skrycie / Gniew, a z nim młodość, głos wolności”). Widzimy w nim Warszawę tak, jak wjeżdżający do niej poeta – od strony Wisły, „zapłuty dworzec” – to dworzec Petersburski na Pradze (dziś Wileński), a „most jak więzienie” to okratowany most Kierbedzia (ten widok jego żelaznej kratownicy możemy zobaczyć, zamieszczaliśmy go już na tych łamach, uchwycony na pocztówce – pochodzącej ze zbiorów Małgorzaty Baranowskiej, w cyklu jej artykułów *Kolekcja nieidealna*, na pewno musi się znajdować w jej *Warszawie, miesiącach, latach, wiekach* albo w *Posłańcu uczuć* – książce poświęconej pocztówkom).⁵¹ Zniszczony podczas działań I wojny światowej, odbudowany w podobnym kształcie, zachował się do 13 września 1944, kiedy podzielił los innych warszawskich mostów, wysadzony przez Niemców w powietrze.

Tak jak u Słowackiego, w *Odwecie* zawarty jest nie mniej mocny motyw profetyczny, i taka sama prefiguracja, zapowiedź przyszłych wydarzeń. Widzimy w nim

Warszawę jako miasto ukrytego, wzbierającego buntu, jako miasto przyszłej walki o wolność. Ale i Warszawę, jako miasto śmierci. Śmierć w warszawskim poemacie Błoka unosi się nie tylko nad Aleją Róż, ale nad całym miastem. Nocna wędrówka i błaganie się po Warszawie, jest także błędzeniem poety po przyszłym mieście śmierci, jakim jest (stanie się) Warszawa, jest wędrówką do kresu nocy i jądra jej ciemności. Jest Warszawą, w której trzeba się zatrzymać, żeby zobaczyć jej drugie utajone życie: „Wówczas – zaczekaj, stań bez ruchu / I tylko słuchaj nocnej ciszy: / A pojmiesz inne życie uchem, / To czego za dnia nie dosłyszysz.”

Rozdział trzeci

Ojciec w „Alej Róż”*, w lecznicy
Z posłania dźwignąć się nie może,
A syna pociąg wśród śnieżycy
Znad ojczystego wiezie morza –
Szyny, żandarmi, na przystankach
Pejsaty szwargot, brud latarni.
I z Rosji wjazd do jej zaścianka
Polskiego, w świtu mżeniu marnym.
Tu zemsta każdy kąt przenika –
Chimera rozjątrzona bólem.
I zemstą posąg Kopernika
Tchnie, zapatrzonej w pustą kulę...
„Zemsta!” w żelazie zimnym dzwoni,
Dygocze echem nad Warszawą:
To gna Pan Mróz na wściekłym koniu,
Spinając go ostrogą krwawą...
Jest odwilż... Wkrótce doda bieli
Mdlawej żółciźnie skraj podniebny.
I piękne panny spojrzą śmielej
Okiem zalotnym, przypochlebnym.
Lecz smutki spod niebieskich stropów
Spływają, siwą mgłą się żalą
I tylko szyny do Europy
Błyszcza w ciemnościach szczerą stałą,
Zapluty dworzec, domy-cienie,
Wiatr szarpie tynki na fasadach;
I most przez Wisłę jak więzienie,
Ojciec, co z resztek sił opada –
Nowiną dla wybrańca losu;
Jemu ten biedny kraj się marzył
Krainą cudów, dziwnych zdarzeń;
On chciałby w głazach widzieć kłosa,
Nieśmiertelności znak na łożu
Śmierci, w latarni za okienkiem
Uroił sobie Twą Jutrzenkę,
Któryś zapomniał Polski, Boże!
I czego tu on, młody, szuka?
O co żarliwie wiatru prosi?
Ślad dni jesiennych – liść na bruku
Nad suchym pyłem wiatr unosi! [...]

* Ulica w Warszawie (przyp. A. Błoka.)

[...]

Mowy nad trumną – jak z ambony;
Damy kwiatami ozdobiły
Martwe, wzniesione wzwyż ramiona;
Zalutowano potem wieko
Taśmą z ołowiu (to ochrania
Zmarłych przed chętką zmartwychwstania).
Z fałszywą leżką pod powieką
Trumnę sprzed wrót pułkowej cerkwi
Wśród ciżby na ramionach wlekli...
Bezsnieżna zamieć wyła smutno.
Mijał zły dzień, szła noc okrutna.
Przez place obce, długim szlakiem,
Za miasto, gdzieś na puste pola,
Dreptał za trumną tłum w orszaku
Na cmentarz, który zwał się „Wola”.
Tak! To wolności brzmią nam pienia,
Gdy grabarz kopiąc dół-mogiłę
Wywraca żółtej gliny bryłę;

[...]

Warszawo, więc i ciebie zmusił
I hardych synów twych, Polaków,
Do drzemki stek nasłanych z Rusi
Mydlków w mundurach i prostaków?
Życie ukryło się w podziemiach,
W pałacach pańskich cisza głucha,
Tylko Pan Mróz gna ponad ziemią
Bezbrzeżną, białą zawieruchę!
Oblędnie trzęsie nad domami
Łbem siwym, długą brodą miota,
Lub odrzucone wstecz wyloty
Przenosi burzą ponad nami.
To zarzy koń – i struny brzękiem
Telegraficzny drut mu wtórzy,
To krnąbrne cugle twardą ręką
Pan skróci. Odgłosami burzy
Dudnią kopyta. I na nowo
Pośród opustoszałych ulic
Pan Mróz, spuściwszy nisko głowę,
Przybity smutkiem, troską, bólem,
Cwałuje na spienionym koniu,
Bodąc go w bok ostrogą krwawą...
I „Zemsta!, Zemsta!” – nad Warszawą
Żelaznym, zimnym echem dzwoni!

W kawiarniach, barach jeszcze widno,
I Nowy Świat wciąż stręczy ciała
Na trotuarach swych bezwstydnym.
Tylko w zaułkach mrok ospały,
Bezruch, zawieci pisk i skowyt...
Lecz niebo żali się i śnieg
Tłumi jałowy ulic bieg
I pada śnieżny czar grudniowy...
Zlatuje, kłębi się i ściele

Śnieg gęsty, lotny i wieczysty...

Mój bohaterze drogi, czysty,
On również ciebie w lot ubieli,
Kiedy bez celu i w zadumie,
Zaledwie pochowawszy ojca,
Bezmyślnie błąkaś się bez końca
W lubieżnym, chorowitym tłumie.
Już ani myśli, ani uczuć,
Już z pustych oczu blask uleciał,
Jakbyś się sercem podczas włóczęg
Postarzał o dziesięciolecie...
W kabłąk nad ziemią zgięty człowiek.
I już nie sam się teraz szwenda,
Szybko prowadzi go po mieście
Ktoś napotkany, ot, przybłąda...
Więc idą Krakowskim Przedmieściem.
Tam Wisła – śnieżnej burzy krater...
Skryć usiłując się za rogiem.
Szczęka zębami mój bohater,
Szybko w powrotną rusza drogę.
I znów Kopernik w białej szacie
Duma nad kulą pochylony...
(A obok – rywal czy przyjaciel –
Wędruje smutek...)

[...]

Znużony ledwie nogi wlecze,
Bez wypoczynku, snu i strawy...
Ucicha gniewny świst zamieci,
Z wolna zapada w sen Warszawa...
A teraz dokąd? Coraz gorzej,
Nie starcza sił na noc włóczęgi.
Teraz mu nikt nie dopomoże!
Bo Już do wnętrza mroku sięgnął!
O nocy, czarne masz spojrzenie
I serce niewzruszone niczym,
Nielitościwe, złe, z kamienia,
Jak te ośleple kamienice!...
Tylko śnieg prószy – wieczny, biały,
W zimie na placu zaspą wzrośnie,
Zasłoni, skryje martwe ciało,
Strumykiem spłynie na przedwiośniu...
Już myśli bohatera mego
Gorączki błędnym żarem dyszą...
Idzie... (I znowu ślad na śniegu
Jeden, choć wciąż ma towarzysza...)
W uszach brzmi mętny dźwięk zawzięcie...
Znienacka – mur, okratowanie,
To chyba Ogród Saski za nim...
Więc wsparł się na żelaznym przecie...
Kiedy zaszczują cię, pognębią
Ludzie, zgryzoty i strapienia,
Gdy śpi pod darnią, w czarnej głębi
Wszystko, coś darzył uwielbieniem;
Gdy po pustyni miejskiej, chory,
Złamany, nocą się wałaszasz,
Kiedy do domu wracać pora

I ciąży siwy szron na rzesach,
 Wówczas – zaczekaj, stan bez ruchu
 I tylko słuchaj nocnej ciszy:
 A pojmiesz inne życie uchem,
 To, czego za dnia nie dosłyszysz.
 I po nowemu ujrzyś wszystko:
 Noc, która cicho na świt blady
 Czeką nad wysrebrzonym sadem,
 Dał śnieżnych ulic, dym ogniska...
 I niebo – księgę ponad księgą...
 Znowu odnajdziesz w pustce duszy”.

Błok nie ukończył poematu, pracował nad nim do końca życia (zmarł w Petersburgu w 1921 roku). O idei utworu, jego muzycznej strukturze i nienapisanym jeszcze wtedy (ani już później) epilogu, o owym profetycznym motywie, który miał się w nim pojawić i rozwijać, poeta mówił we wspomnianej przedmowie, którą wygłosił w 1919 roku, gdy odczytywał trzeci rozdział poematu:

„Akcja poematu przenosi się ze stolicy rosyjskiej, w której rozwijała się dotąd, do Warszawy – która z początku wydaje się «zaściankiem» Rosji, lecz później zostaje widocznie powołana do odegrania jakiejś mesjanistycznej roli, związanej z losem zapomnianej przez Boga i umęczonej Polski. Tu, nad świeżą mogiłą ojca, kończy się rozwój i droga życiowa syna, ustępującego miejsca własnemu potomkowi, trzeciemu ogniwu tego wciąż jeszcze wysoko wznoszącego i nisko upadającego rodu. W epilogu miało być pokazane dziecko, które kołysze na kolanach prosta matka, zagubiona gdzieś wśród rozległych polskich pól koniczyzny, nieznana nikomu i nieświadoma niczego. Ale kołysze i karmi piersią syna i syn dorasta, już zaczyna się bawić, powtarza, sylabizując w ślad za matką: «I ja wyruszę przeciw żołnierzom. I rzucę się na ich bagnety. I za ciebie, wolności moja, wstąpię na czarny szafot»”.⁵²

„Całemu poematowi winien towarzyszyć motyw przewodni *Odwetu*: jest nim mazur, taniec, który niósł na swych skrzydłach [...] Kościuszkę z ręką wyciągniętą ku niebu, i Mickiewicza na balach rosyjskich i paryskich. W pierwszym rozdziale słychać słabe dźwięki tańca napływające z okna jakiegoś petersburskiego mieszkania – to są głuche lata siedemdziesiąte, w drugim rozdziale taniec rozbrzmiewa na balu, mieszając się z pobrzękiem oficerskich ostróg, podobny do piany szampańskiego *fin de siècle'u* słynnej Veuve Cliquot, jeszcze bardziej głuche, cygańskie są lata apuchtinowskie, wreszcie w trzecim rozdziale mazur się rozgrywa; dzwoni w zamieci śnieżnej nad nocną Warszawą, nad ośnieżonymi polskimi polami koniczyzny. Słychać już w nim wyraźnie głos *Odwetu*”.⁵³

Przechodząc po Alei Róż, obok miejsca, gdzie na wysokości nr 10, w którym znajdowała się prywatna klinika dla niezamożnych chorych doktora Konrada Dobrego, w której umierał ojciec Aleksandra Błoka, i do którego w 1909 roku przyjeżdżał z Petersburga grudniową, śnież-

ną porą poeta, nie zastawszy go już przy życiu (zanotował to w diariuszu pod datą 1 [14] grudnia: „Przyjazd – Śmierć”⁵⁴). Budynek kliniki został rozebrany rok później w związku z budową w tym miejscu luksusowych kamienic – nie mogę się oprzeć, tak zresztą jak i czytając, czy przypominając sobie te słowa rozpoczynające rozdział trzeci poematu: „*Ojciec w «Alei Róż», w lecznicy / Z posłania dźwignąć się nie może, A syna pociąg wśród śnieżnicy / Znad ojczyzno-wiezie morza*” – by nie pomyśleć o podróży odbywającej się ponad dziesięć lat później w odwrotnym kierunku. Nie mogę oprzeć się tej myśli, i dlatego obraz tego pociągu zmierzającego do Warszawy tak mnie porusza, że w tym samym czasie, gdy poeta mógł jeszcze pracować nad swoim niedokończonym warszawskim poematem, w 1920 roku, moja matka, urodzona pod Petersburgiem i jako dopiero co świeżo ochrzczone niemowlę w parafii św. Katarzyny nad Nową, w Petersburgu, odbywała właśnie swoją pierwszą podróż stamtąd do Warszawy, wraz ze swoimi mieszanymi polsko-rosyjskimi rodzicami, którzy postanowili repatriować się do Polski w przededniu wojny polsko-bolszewickiej. Kto by pomyślał, że po latach zamieszka tak blisko tej Alei Róż. Te dwie bezpowrotne, równoległe podróże, Petersburg i Warszawa, nakładają się na siebie tutaj, ilekroć myślę o „mojej” Alei Róż, gdy tamtędy przechodzę. Nigdy o tym z nią nie rozmawiałem.

Podobnych czy innych olśnień, jakich doznaję niekiedy, które mogą nas dopaść na ulicach Warszawy i gdy dopada nas na nich historia jest znacznie więcej.

Wiele lat przecież przechodziłem, czy przebiegałem do trolejbusu na ulicy Pięknej, w drodze do liceum Batorego, przez Aleje Ujazdowskie, mijając obok znany, znajdujący się tam kamień przy rogu z Piękną, upamiętniający zamach na Kutschere. O tym zamachu wiedzieliśmy niemal wszystko, także z filmowej opowieści o tej słynnej akcji polskiego podziemia, na który to film chodziło się swego czasu po kilka razy. Ale dopiero niedawno zdałem sobie z tego sprawę – nie wiem, co się stało? dziura w pamięci? – że w pałacyku w Alejach Ujazdowskich pod nr 23 znajdowało się Dowództwo SS i Policji. Bo to, że to była dzielnica policyjna, to, że Kutschera mieszkał w Alei Róż pod nr 2, w tym pięknym zachowanym domu położonym *vis-à-vis* niegdyśszej siedziby ambasady brytyjskiej na rogu Alej Ujazdowskich (Dom Szelechowa z 1906 roku), to było oczywiście wiadome. To wszystko wiedziałem i pamiętałem, i z filmu, i z lektur i opowieści, także i z położonych kilka, kilkanaście (?) lat temu na chodniku Alej Ujazdowskich, na wysokości wejścia do Ogrodu, niewielkich tablic upamiętniających miejsca, gdzie stały uczestniczki tej akcji, łączniczki: „Kama” – Maria Stypułkowska-Chojcka, „Dewajtis” – Elżbieta Dziębowska, „Hanka” – Anna Szarzyńska-Rewska. Ale o tym, że w pałacyku pod nr 23 była siedziba dowództwa SS, obok którego przechodziłem zupełnie spokojnie, (przez wiele lat mieściła się tam ambasada Jugosławii), zupełnie zapominałem. Nie wiem, czy moja pamięć zatrzymała się na tej akcji zajechania drogi, dojeżdżającemu z Alei Róż 150

metrów do „pracy”, niemieckiemu generałowi, katowi Warszawy, autem, które prowadził „Miś” – Michał Issajewicz; czy też potknęła na tym kamieniu pamięci, czy wylądowała się po szkolnej, odbytej jeszcze w podstawówce, wycieczce do „tramwajów” – więziennych cel gestapo znajdujących się w piwnicach w Alei Szucha (tam dziś znajduje się Ministerstwo Oświaty, czy Edukacji) i tam ulokowała, wbrew logice topografii i przebiegowi tej akcji, to dowództwo SS. Ale, jak mówiłem, dopiero całkiem niedawno zdałem sobie z tego sprawę, że naprawdę to było w tym pałacyku. I kiedy w 2009 roku w związku z ustanowieniem nagrody im. Kazimierza Moczarskiego i jej pierwszą edycją, a potem wizytą jej pierwszego laureata na naszej konferencji o „Domu” w 2010 roku, Gunnara Stefana Paulssona, autora książki *Utajnione miasto. Żydzi po aryjskiej stronie Warszawy (1940-1945)*,⁵⁵ sięgnąłem ponownie do czytanych przed laty Kazimierza Moczarskiego *Rozmów z katem* (od 1973 roku publikowanych w odcinkach w „Odrze”, pierwsze wydanie książkowe – cenzurowane – ukazało się już po śmierci autora w 1977, ostatnie wydanie 2009⁵⁶), uprzytomniłem sobie, że przecież na niespełna rok przed Kutscherą urzędował w tym pałacyku kat warszawskiego getta Jürgen Stroop, kierujący bezpośrednio Grossaktion – walką z powstaniem w gettcie, likwidacją getta, zagładą ludzi i miasta, biorąc czynny udział w tych działaniach. I który później tak często w celi więziennej na Mokotowie dzielonej z Kazimierzem Moczarskim opowiadał mu o swoim apartamencie w Alei Róż 2 i jego wygodach, do których powracał po pracowicie spędzonym dniu. Autor słynnego końcowego raportu zatytułowanego: *Była żydowska dzielnica mieszkaniowa przestała istnieć!* W trakcie ponownego czytania książki Kazimierza Moczarskiego, przez jakiś czas, ilekroć zdarzyło mi się tamtędy przechodzić obok tego już rozpoznanego pałacyku w Alejach Ujazdowskich, wtedy, jak i obecnie, już także opuszczonego i zaniedbanego (od kiedy zdążyła się zeń wyprowadzić ambasada Serbii, która pojawiła się w miejsce jugosłowiańskiej), a i być może na skutek tej emanującej także z jego wnętrza ciemności, pustki i nicości, czułem na plecach mrowiący dreszcz i przyspieszałem kroku, albo starałem się to miejsce szerokim łukiem omijać. Podobnych „olśnień”, nagłych dopadnięć historii, zapomnień i przypomnień, można w tym mieście doświadczyć wiele. I nie trzeba wcale daleko wędrować.

Proces odkrywania miasta toczy się tu nieustannie. *Warszawa nieodbudowana* (Jerzego S. Majewskiego), *Korzenie miasta. Warszawskie pożegnania* (Jerzego Kasprzyckiego) – te wymienione tu dla zasygnalizowania szerszego zjawiska tytuły znanych cykli, i gromadzonych w nich źródeł, strony internetowe, jak: *Warszawa 1939*, *Warszawa 1944*, *Warszawa 1935*, filmy i rekonstrukcje w formacie 3D, warszawikia (warszawskie encyklopedie) i tysiące stron indywidualnych na których gromadzone są fotografie, plany, dokumentacja nieistniejącego już i istniejącego miasta.

Warszawa takich tablic jak ta, która wisi na gmachu naszego Instytutu Sztuki przy ulicy Długiej: „Pod gruzami

mi tego budynku polegli 1 IX 1944 łączniczka Kazimiera Chuchla «Kaja» lat 16. Kazimierz Sochański «RAD» lat 18. Harcerze- żołnierze batalionu AK «Parasol»”.

Od czasu, do czasu, gdy dopadnie nas taki błysk, czujemy, że w Warszawie, jak na cmentarzu, trzeba chodzić ostrożnie, na palcach. Może nawet czasem unosić się lekko nad ziemią.

W swojej książce *Warszawa, miesiące, lata, wieki* Małgorzata Baranowska przytacza odpowiedź na ankietę „Kalendarza Warszawskiego” z roku 1948: „Dlaczego właśnie Warszawa?” znanego sceptyka, który nie krył swojego krytycznego stosunku do powstania, powstańca z roku 1944, Stefana Kisielewskiego (1911-91):

„Dzisiaj przestałem ukrywać adorację, jaką żywię dla miasta lat dziecińczych, dla «stolicy swej młodości». Bo wiem, jako jeden z miliona warszawiaków, przeżyłem te dni patetyczne i straszliwe, dzięki którym Warszawa przestała być tylko jednym z szeregu polskich miast, lecz stała się symbolem całego Narodu, a sprawy tego miasta chwyciły coś z powiewu wieczności, który niesie na swych skrzydłach losy Narodu. Aleje Ujazdowskie i Łazienki – to nie są już tylko zielone zakątki, gdzie spędziłem dzieciństwo ja i moi rówieśnicy – to pełna pamiętek promenada całej Polski, to miejsce schadzek duchów naszej historii, jak to z genialną wrażliwością odczuł Wyspiański, choć spędził w Warszawie parę tygodni swego życia za ledwie. A Krakowskie Przedmieście, plac Saski, gruzi Starego Miasta – to nie tylko zbiorowisko potrząskanych, starych kamienic, pałaców, kościołów i pomników – to plac boju ogromnego, gdzie o każdy dom walczone, to polski Panteon, to najbardziej patetyczny krajobraz polski. Krucza, Piękna, Marszałkowska, Wołska – nie są już tylko ulicami, Wisła nie jest tylko Wisłą, park nie jest tylko parkiem”.

Warszawa wypatrywana na stronach internetowych, fotografiach, Warszawa pisana i opisywana w książkach, tropiona na mapach zamawianych u specjalistów.

Można by zapytać na koniec: Więc gdzie jest to miejsce?

„Architektura jego nie jest ważna
Ważna jest architektura wyobraźni
Architektura krwi i serca
życia i śmierci
słońca i mgły”.

I może trzeba by dopowiedzieć, że miejsca (i nie tylko w Warszawie) to ludzie...?

I do listy znanych antropologicznych kategorii, jak: „miejsca pamięci”, „niepamięci”, „miejsca / nie-miejsca” dopisać i tę: „miejsca-ludzie”?

4. Post scriptum

Małgosiu, od paru dni wertuję Twoją *Prywatną historię poezji* w poszukiwaniu wiersza czy choćby jego fragmentu, kilku słów o jego autorze, pamiętam, że rozmawialiśmy o nim, że coś o nim mówiłaś, ale nie mogę tego znaleźć,

a może gdzie indziej to pisałaś? Nie pamiętam, co wtedy mówiłaś, nie wiem gdzie tego szukać... Chodziło o znany wiersz śpiewany w krakowskiej Piwnicy pod Baranami, który był jednym z jej hymnów, o tekst Janusza Jęczyńka, do którego muzykę napisał Zygmunt Konieczny:

Przychodzimy, odchodzimy
Leciuteńko na paluszkach
Szczotkujemy wycieramy
Buty nasze twarze nasze
Żeby śladów nie zostawić
Żeby śladu nie zostało
Miasta nasze domy nasze
Na uwieży się kołyszą
Tuż nad ziemią ledwo ledwo
Jak wiatr mały to nie widać
A jak wielki wiatr się zdarzy
Wielka bieda puszczą cumy
Zatrzepocą się zatańczą
Miasta nasze domy nasze
I polecą w stratosferę
Przygarbionych w pustym polu
Bez oparcia bez osłony
Bez niteczki choćby co by
Przytwierdzała nas do ziemi
Wiatr nas porwie i poniesie
Za kołnierze podniesione
Porozrzuca gdzieś w przestrzeni
Nam to nic przeczekamy
A jak skończy jak ucichnie
To wstaniemy otrzepiemy
Kłapy nasze rączki nasze
Żeby śladu nie zostało
Od początku zbudujemy
Miasta nasze domy nasze
Sprzęty nasze lampy nasze
Żeby wiatr miał czym kołysać

Przypisy

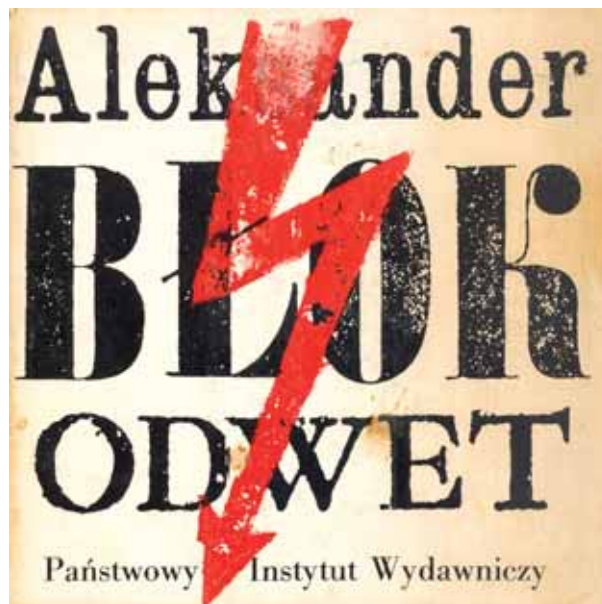
- ¹ Powszechnie błędnie utarło się, że nazwa Mokotów wywodzi się od nazwy francuskiej *Mon coteau* – „Moje wzgórze” i jest po prostu spolszczeniem. Nasi językoznawcy przyjęli bowiem bez zastrzeżeń wyjaśnienia ojca dialektologii polskiej prof. Lucjana Malinowskiego, który w 1885 roku stwierdził, że „wieś Mokotów nie należała nigdy do żadnego Mokota. Pierwotnie osada ta nosiła nazwę francuską *Mon coteau*, którą otrzymała od założycielki swej księżnej Izabeli z Czartoryskich Lubomirskiej, marszałkowej wielkiej koronnej. Następnie tenże prof. L. Malinowski powołuje się na poemat J. L. Orańskiego pt. *Mokotów* wydany w Warszawie w 1826 r., a przecież nazwa Mokotów i dawniejsza Mokotowo, jest w swej strukturze słowotwórczej przymiotnikiem dzierżawczym i wyraźnie wskazuje na to, że utworzono ją od używanego imienia własnego: Mokot. Nowsze badania historyczne wykazały, że nazwa Moko-

towo występuje w dokumentach już w XIV w., a dokładnie w 1367 r. (por. *Poznaj Warszawę, Mokotów*, „Stolica” 1969, s. 14.) Była to wieś książęca, opierająca się na dawnym prawie chełmińskim i posiadająca własnego sołtysa. Juliusz Gomulicki doszukuje się istnienia tej wsi już w XI w. (tamże, s. 14). W pracy Władysława Kuraszkiewicza i Adama Wolffa czytamy: „Mokotowo, powiat warszawski, parafia solecka, dziś: Mokotów”. A w przytoczonym tekście jest to zaświadczone: „domokothowa” (W. Kuraszkiewicz i A. Wolff, *Zapiski i rotty polskie XV-XVI w. z ksiąg sądowych ziemi warszawskiej*, Kraków 1950, G 79/2084, s. 195.) Także prof. Witold Doroszewski stwierdza, że pochodzenie francuskie nazwy Mokotów jest legendą, że nazwa jest wcześniejsza od okolicznościowych francuskich próbek i wywodzi się od imienia własnego: Mokot (W. Doroszewski, *O kulturę słowa. Poradnik językowy*. Warszawa 1964, s. 432). Lubomirska, być może dla żartu, wymyśliła nazwę francuską, która fonetycznie kojarzyła się z dawniejszą, polską nazwą. Literackie opisy ówczesnego Mokotowa mamy dwa. Autorem starszego, pochodzącego z XVIII w., jest Wojciech Wincenty Wielądko (W.W. Wielądko, *Opisanie Mokotowa z dnia 12 Julii roku 1783*, [w:] *Poznaj Warszawę, Mokotów*, „Stolica” 1969, s. 12, 13.) – [za: hasłem Mokotów, *Etymologia Mokotowa*, w: Wikipedia].

- ² Eugeniusz Żytomirski, *Pałac Kultury, Liryczne okienko Stolicy*, „Stolica”, 15 V 1963.
- ³ Na ten temat w odniesieniu do Warszawy pisałem w studium o Pałacu Kultury, patrz: Zbigniew Benedyktowicz, *Widmo środka świata. Przyczynek do antropologii współczesności*, „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa” nr 1/1991, s. 16-33.
- ⁴ Małgorzata Baranowska, *Pamiętnik mistyczny*, Gdańsk 1998, dalej cytowany jako: [Pm]; tejże, *Warszawa – miesiące, lata, wieki*, wybór ilustracji Marta Zielińska, Wrocław 1996, dalej cytowana jako: [Wmlw]; o tej książce patrz: Zbigniew Benedyktowicz, *Male i wielkie ojczyzny* [w:] „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa”, 1996, t. 50, nr 1-2, s. 152-157; Małgorzata Baranowska, *Prywatna historia poezji*, Warszawa 1999, dalej cytowana jako: [Php]; tejże, *Wracam na Ochotę*, Warszawa 2011, dalej cytowana jako [WnO].
- ⁵ Marta Zielińska, *Warszawa – dziwne miasto*, Warszawa 1995, dalej cytowana jako [Wdzm]; tejże, *Miłość w Warszawie. Percepcja przestrzeni nieoswojonej*, [w:] „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa”, 2011, t. 65, nr 4, s. 169-175.
- ⁶ Jacek Leociak, *Miłość patrzy na getto. Paradoksy bliskości i oddalenia w doświadczeniu przestrzeni Warszawy okupacyjnej*, [w:] „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa”, 2011, t. 65, nr 4, s. 176-184; oraz tegoż: Jacek Leociak, *Spojrzenia na warszawskie getto*, Warszawa 2011; tegoż, *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście* (wspólnie z B. Engelking), Warszawa 2001, wydanie II zmienione, poprawione i rozszerzone, Warszawa 2013; tegoż, *Tekst wobec Zagłady. (O relacjach z getta warszawskiego)*, Wrocław 1997.
- ⁷ Jacek Leociak, *Ulica Elekoralna*, [w:] *Geografia Słowackiego. „Widziałem rzutem oka cały kawał ziemi...”* pod redakcją Doroty Siwickiej i Marty Zielińskiej, Warszawa 2012, dalej cytowana jako: [UE].
- ⁸ Aleksander Brückner, *Słownik Etymologiczny języka polskiego*, Warszawa 1974, s. 330-331.
- ⁹ Jarosław Iwaszkiewicz tak pisze o tym w swoim *Petersburgu*: „Na początek pobytu [Błoka w Warszawie przyp. ZB] (ojca już przy życiu nie zastał) przyszła prawdziwa fascy-

nacja nazwami ulic. Trzeba przyznać, że nie są one banalne i uderzyć mogły wyobraźnię poety: Aleja Róż, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, Saski Ogród...”, por. Jarosław Iwaszkiewicz, *Petersburg*, Warszawa 1976, s. 47.

- ¹⁰ Poematowi *Odwet* i pobytowi Błoka w Warszawie, rekonstruując dzień po dniu spędzony przez poetę w Warszawie, poświęcił odrębną książkę Adam Galis, patrz: tegoż, *Osiemnaście dni Aleksandra Błoka w Warszawie*, Warszawa 1976.
- ¹¹ Przekład Adama Galisa; ten sam fragment w przekładzie Mieczysława Jastruna, do którego nawiązuje w swoim *Petersburgu* Jarosław Iwaszkiewicz, brzmi:
„leży mój ojciec w alei Róż
walczyć o życie już nie może
A syna pociąg ciągnie w mróz
Od brzegów rodzonego morza”.
- ¹² Na temat historii, znaczeń, typów nazw warszawskich ulic patrz niezwykle ciekawe studium Kwiryny Handke, *Dzieje Warszawy nazwami pisane*, Warszawa 2011.
- ¹³ *Warszawa – dziwne miasto* – (dalej Wdzm) książka Marty Zielińskiej, ukazała się w 1995, ale powstała w 1989, jak zaznacza autorka we wstępie. Fragmenty tej książki ukazywały się od 1989: *Największy Plac w Europie*, „Kronika Warszawy”, nr 4/1989; *Wieczne miasto na ruchomych piaskach*, „Res Publica” 1990, nr 3; *Warszawska natura klimatu*, „Twórczość” 1990, nr 12; *Od Alej Jerozolimskich do Pana Boga, czyli metafizyka po warszawska*, „Twórczość” 1991, nr 11/12; *Warszawskie miary czasu*, „Teksty” 1993, nr 3. Oprócz tego obszerne fragmenty tej książki, podzielone na odcinki, drukował nowojorski „Przegląd Polski” (dodatek do „Nowego Dziennika”) w latach 1993-95. Skróty pojawiające się w przywołanych tu cytatach, zastosowane przez autorkę, to: Miron Białoszewski: P – *Pamiętnik z powstania warszawskiego*, Warszawa 1987.; Sz – *Szumy, zły, cięgi*, Warszawa 1976.; R – *Rozkurz*, Warszawa 1980.; Z – *Zawał*, Warszawa 1977; Tadeusz Konwicki: W – *Wniebowstąpienie*, Warszawa 1967; Isaac Bashevis Singer (wszystkie w tłumaczeniu autorki): A – *Love and Erik The Early Years – A Memoir*, New York 1986. Con – Richard Burgin, *Conversations with Isaac Bashevis Singer*, New York 1985; Richard Burgin, *Rozmowy z Isaakiem Bashevisem Singerem*, tłum. Elżbieta Petraitis-O'Neill, wyd. Atext, Gdańsk 1992; FM – *The Family Moskat*, New York 1983; *Rodzina Muszkatów*, tłum. Joanna Borowik, wyd. Dom Księgarski i Wydawniczy Fundacji Polonia, Warszawa 1992, l.1-2; S – *Spuścizna*, tłum. Irena Wyrzykowska, Warszawa 1983; Sh – *Shosha*, New York 1983; Szosza, tłum. Szymon Sal, wyd. Sagittarius, Warszawa 1992; Bolesław Prus: Kr. nr t/– *Kroniki*, Warszawa 1956-1967, t. 1-17; Leopold Tyrmand: Zły – *Zły*, Warszawa 1956.
- ¹⁴ Franciszek Maksymilian Sobieszczański, *Warszawa. Wybór publikacji*, Warszawa 1967, t. I, s. 393-394, [za:] Marta Zielińska, Wdzm.
- ¹⁵ Adam Galis, *Osiemnaście dni Aleksandra Błoka w Warszawie*, Warszawa 1976, s. 136; „Pozostała część budynku Dworca Wiedeńskiego została spalona we wrześniu 1939, a ruiny rozebrano przed 1944. W czasie budowy placu Defilad w 1955 roku niedaleko miejsca wieży wschodniej (znajdowała się tam, gdzie znajduje się jezdnia poszerzonej ul. Marszałkowskiej) pojawiła się tablica pamiątkowa. Tekst brzmiał: tu stała wieża zegarowa dworca Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Zaginęła ona przy budowie stacji metra. Dziś w tym miejscu znajduje się zagłębiony plac przed stacją metra Centrum. Istnieje



propozycja nazwania placu narożnego po zabudowie Warszawsko-Wiedeńskim, por.: http://pl.wikipedia.org/wiki/Dworzec_Wiedeński.

- ¹⁶ Przekład Adama Galisa, [za:] Aleksander Błok, *Odwet*, Warszawa 1989, s. 54, dalej przywoływane fragmenty podaję za tym wydaniem.
- ¹⁷ Por. *Przestrzenie pamięci*. [w:] *Film i kontekst*, pod red. Zbigniewa Benedyktowicza, Danuty Palczewskiej, Teresy Rutkowskiej, „Studia z Teorii i historii Filmu” t. XIII, Warszawa–Gdańsk–Wrocław, Ossolineum 1988, s. 149-201).
- ¹⁸ Tadeusz Konwicki, *Mała Apokalipsa*, Warszawa 1988, s. 6 i passim.
- ¹⁹ Tamże, s. 189-190.
- ²⁰ Tadeusz Konwicki, *Rzeka podziemna, podziemne ptaki*, Warszawa 1989, s. 161-162.
- ²¹ Krzysztof Kamil Baczyński, *** [O miasto, miasto – Jeruzalem żalu... (marzec 42)], patrz w tegoż: *Utwory zebrane*, opracowali Aniela Kmita-Piorunowa i Kazimierz Wyka, Kraków 1970, t. I, s. 241.
- ²² Miron Białoszewski, *Pamiętnik z powstania warszawskiego*, tu cytowany za wydaniem: Warszawa, 2008.
- ²³ Czesław Miłosz, *Traktat poetycki*, [w:] tegoż, *Utwory poetyckie. Poems*, Ann Arbor 1976, s. 172, 185.
- ²⁴ Mam tu na myśli dwa wydania (2001, 2013) *Przewodnika po nieistniejącym mieście* autorstwa Barbary Egelking i Jacka Leociaka – por. przypis 6.
- ²⁵ Wszystkie cytaty wewnętrzne za: Jacek Leociak, *Miłosz patrzy na getto...*, dz. cyt., s. 179.
- ²⁶ Tamże.
- ²⁷ Tamże.
- ²⁸ K. Dumala, „Podłoga” warszawskich ulic, [w:] *Wnętrze warszawskiej ulicy*, pod red. B. Wierzbickiej, Warszawa 2002, s. 77, [za:] Jacek Leociak, *Ulica Elektoralna*, dz. cyt., s. 82.
- ²⁹ Jacek Leociak, *Ulica Elektoralna*, dz. cyt., s. 83.
- ³⁰ Tamże, s. 85.
- ³¹ Tamże, s. 87.
- ³² Tamże, s. 88.
- ³³ Tamże.
- ³⁴ Tamże, s. 86.
- ³⁵ Wanda Konopińska-Michalak, *Cudzoziemka na gruzach Warszawy*, „Klematis. Kwartalnik literacki Domu Marii i Jerzego Kuncewiczów”, nr 1 (5) 2010, s. 17-21.

- ³⁶ Jerzy Stanisław Majewski, *Co było w miejscu obecnego Pałacu Kultury*, „Gazeta Stołeczna”, 21 07 2005, cyt. za: Wanda Konopińska-Michalak, *Cudzoziemka...*, dz. cyt., s. 20.
- ³⁷ Wanda Konopińska-Michalak, *Cudzoziemka...*, dz. cyt.
- ³⁸ Jerzy Stanisław Majewski, *Co było w miejscu obecnego Pałacu Kultury*, s. 18; Zobacz też: http://fzp.net.pl/sites/default/files/pliki/Spacer%20I%20-%20Male%20get-to%20-%20czesc%20poludniowa_0.pdf. Lokalizacja budynku jest dobrze widoczna na zdjęciu z początku lat 50. XX wieku, które przedstawia ruiny przedwojennej zabudowy w czasie budowy Pałacu Kultury i Nauki, patrz: zdjęcie wykonane od południa z budowy PKiN, strona internetowa Pałacu Kultury i Nauki: http://www.pkin.waw.pl/historia/galeria_zdjec_historycznych.
- ³⁹ Więcej patrz: Igor Newerly, wprowadzenie do *Pamiętnik*, [w:] Janusz Korczak, *Wybór pism*, t. IV, wyboru dokonał Igor Newerly, red. Danuta Stępniewska, Warszawa 1958, s. 503-507.
- ⁴⁰ Przyp. Igora Newerly, tamże, s. 618.
- ⁴¹ Tamże, s. 504-505.
- ⁴² Na ten temat o ostatnich dniach Korczaka w getcie więcej, patrz: Zofia Szymańska, *Nie uległ skamieniałym sercom* i inne relacje zamieszczone w zebranych wspomnieniach: *Wspomnienia o Januszu Korczaku*, wybór i opracowanie Ludwika Barszczewska, Bolesław Milewicz, [w:] *Janusz Korczak. Źródła i Studia*, red. Aleksander Lewin, Warszawa 1981; Hanna Mortkowicz-Olczakowa, *Janusz Korczak*, Warszawa 1978; Joanna Olczak-Roniker, *Korczak. Próba biografii*, Warszawa 2011.
- ⁴³ Janusz Korczak, *Wybór pism*, t. IV, dz. cyt., s. 497-500.
- ⁴⁴ Janusz Korczak, *Pamiętnik*, tamże, s. 560-564.
- ⁴⁵ Janusz Korczak, *Pamiętnik*, dz. cyt., kolejne fragmenty wzięte zeń, po przypisie 44, pochodzą ze stron: 512; 514; 515; 527; 578; 509; 522; 468; 509; 586; 588.
- ⁴⁶ Czesław Miłosz, *Traktat poetycki*, dz. cyt., s. 172.
- ⁴⁷ Maria Kuncewiczowa, *Natura*, Warszawa 1975, s. 35.
- ⁴⁸ Strony internetowe Warszawa 1944.
- ⁴⁹ Aleksander Błok, *Odwet*, dz. cyt., przypis 2, tamże s. 81.
- ⁵⁰ Adam Galis, *Siedemnaście dni*, dz. cyt.; Aleksander Błok, *Odwet*, dz. cyt.
- ⁵¹ Słowa bohatera sztuki H. Ibsena *Budowniczy Solness*, tamże, s. 81.
- ⁵² Małgorzata Baranowska, patrz cykl *Kolekcja nieidealna: (1) Pocztówka masowa i fotografia uczuć*, [w:] „Konteksty”, 1997, t. 46, nr 3-4; (2) *Jestem tutaj*, [w:] „Konteksty”, 2002, t. 56, nr 3-4; (3) *Pamiętaj o mnie*, [w:] „Konteksty”, 2003, t. 57, nr 1-2; (4) *Pocztówka i prawda* [w:] „Konteksty”, 2002, t. 58, nr 1-2; tejże, *Warszawa – miesiące lata* wiek, dz. cyt.; *Posłaniec uczuć*, Warszawa 2003, s. 146.
- ⁵³ Aleksander Błok, *Odwet*, dz. cyt., s. 9-10.
- ⁵⁴ Tamże.
- ⁵⁵ Adam Galis, *Siedemnaście...*, dz. cyt., s. 127.
- ⁵⁶ Gunnar S. Paulsson, *Utajone miasto. Żydzi po aryjskiej stronie Warszawy (1940-1945)*, Kraków 2009.
- ⁵⁷ Kazimierz Moczarski, *Rozmowy z katem*, wstęp Norman Davis, opracował Krzysztof Kunert, Kraków 2009.



Warszawa, Plac Zbawiciela ok. 1946-48